W numerze: ST. POWOŁOCKI **Teatralne upodobania Lenina** ● J. KOPROWSKI **Pamięci Wlastimila Hofmana** ● W. NATANSON **Opowieści profesora Tutki** ● **Miliony pani Leokadii** ● **Szklane domy wśród sosen** ● **W oczekiwaniu na Dorotę** ● **Zewsząd o wszystkim**

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

12. IV. 1970 r.
15 (647)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

Sprawy ludzkie sprawy nasze

Z SEKRETARZEM ŁÓDZKIEGO KOMITETU FJN ANTONIM WESOŁOWSKIM ROZMAWIA WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

— W literaturze społeczno-politycznej, a nawet prawniczej, można się spotkać z określeniem Frontu Jedności Narodu jako organizacji. Czy Pana zdaniem takie określenie jest właściwe?

— Nie, nie jest właściwe, ponieważ nie odpowiada ono jego istocie i rzeczywistości społecznej. Front Jedności Narodu poza prezentowaniem swoich programów wyborczych oraz programów z okazji organizowania obchodów ważniejszych rocznic państwowych i historycznych, nie posiada przecież statutu członkostwa, składek, ani dyscypliny formalnej. A więc brak mu jest tych wszystkich cech formalnych, które charakteryzują organizacje społeczne i stowarzyszenia.

— Na czym więc polega istota Frontu Jedności Narodu?

— Najogólniej rzecz ujmując, można powiedzieć, że Front Jedności Narodu jest masowym ruchem społeczno-politycznym, czyli dobrowolną, powszechną i społeczną formą zespalania i integracji politycznej wszystkich twórczych, postępowych i patriotycznych sił narodu polskiego wokół realizacji wspólnego programu budownictwa socjalistycznego, rozwoju gospodarki i kultury narodowej, pomnażania sił Polski Ludowej, umacniania suwerenności i bezpieczeństwa jej granic.

— Koncepcja i rola Frontu Jedności Narodu znajdują swój wyraz w licznych uchwałach Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jak zostały one sprecyzowane?

— Jasną i pełną odpowiedź na to pytanie dają uchwały IV i V Zjazdu PZPR, a zwłaszcza III Plenum KC PZPR z 1965 roku.

W referacie na wspomnianym Plenum, w sposób najpełniejszy, została określona koncepcja Frontu Jedności Narodu jako zjawiska politycznego — integralnie wrośniętego w życie społeczno-polityczne kraju, jako instytucji ustrojowej, która od kilkunastu już lat jest jednym z ważnych instrumentów funkcjonowania całego mechanizmu politycznego w naszym kraju.

„Władza ludowa — powiedział I Sekretarz KC PZPR na III Plenum — opiera się o sojusz polityczny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym, znajduje swoją masową bazę społeczną w FJN, który zespala wszystkie twórcze, postępowe i patriotyczne siły narodu wokół wspólnego programu budownictwa socjalistycznego i rozkwitu naszej Ojczyzny".

Z powyższego określenia wynika więc, że „podstawą polityczną" zespolenia wszystkich postępowych i patriotycznych sił społeczeństwa wokół programu budowy socjalizmu w Polsce, a określonego pojęciem Frontu Jedności Narodu, jest sojusz polityczny PZPR, ZSL i SD. Kierowniczą rolę spełnia w nim Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, która reprezentuje nie tylko interesy klasy robotniczej, ale także chłopstwa pracującego, inteligencji, a więc występuje jako rzecznik interesów ogólnych.

— Jak rozumieć sformułowanie, że władza ludowa znajduje swoją masową bazę społeczną we Froncie Jedności Narodu?

Dalszy ciąg na str. 4

Uniwersytet Łódzki wczoraj i dziś

Prof. dr Adam Szpunar

Wybierano mnie rektorem Uniwersytetu Łódzkiego kolejno przez dwie kadencje. Dla uczelni lata te, 1956—1962, były wyjątkowo szczęśliwe. Myślę tu zarówno o sprawach wielkich jak i też mniej ważnych, które jednak w życiu akademickim mają istotne znaczenie.

Do spraw najważniejszych zaliczam połączenie w tym czasie Wyższej Szkoły Ekonomicznej i Uniwersytetu Łódzkiego w jedną uczelnię. Dzięki zespoleniu otworzyła się możliwość pełniejszej realizacji zadań Uniwersytetu w zakresie naukowym i dydaktycznym. Uczelnia wykorzystała tę szansę. Nie jest przecież przypadkiem, że w naszym ośrodku takie kierunki jak ekonomia, socjologia, socjologia przemysłu i ekonometria mają dziś podstawowe znaczenie. Wiąże się to ze specyfiką miasta przemysłowego, na terenie którego działa Uniwersytet Łódzki. Toteż patrząc z perspektywy dziesięciu lat uważam to posunięcie za bardzo udane.

A przecież zespolenie to rzutuje także na całokształt działalności uczelni. Na wszystkich kierunkach można zaobserwować wydatny rozwój nauk. Nasza socjologia osiągnęła rangę światową. I w tym ogólnym, pomyślnym klimacie mogliśmy odzyskać szereg kierunków nauczania: wznowiliśmy przecież zajęcia na anglistyce, na pedagogice, likwidując w ten sposób kadłubowość uczelni. Uniwersytet, który w pewnym okresie miał już charakter szczątkowy, znów zaczął się rozwijać.

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

„W 16 lat po Układach Genewskich zaczęła się druga wojna indochińska. Wojna wietnamska staje się znów wojną indochińską..." Cytat ten, pochodzący z tygodnika „Le Nouvel Observateur", odzwierciedla niepokój, jaki przynoszą wiadomości z LAOSU, gdzie nasila się interwencja amerykańska oraz z KAMBODŻY, gdzie — znów posłużmy się słowami wymienionego tygodnika — „grupka awanturników małego kalibru usiłuje grając va banque spoić małe królestwo kambodżańskie z pewną całością strategiczną, nad którą panują amerykańskie i syjamskie służby specjalne, a definitywnie odłączyć je od indochińskiej całości socjalistycznej".

Sytuacja w Laosie i Kambodży podsyca płomień wojny wietnamskiej i grozi jej rozszerzeniem na inne kraje tego regionu. Nic przeto dziwnego, że Indochiny znajdują się w centrum zainteresowania opinii publicznej.

Nowym elementem — już z pierwszych dni kwietnia — jest podjęcie przez siły wyzwoleńcze w POŁUDNIOWYM WIETNAMIE zakrojonej na szeroką skalę ofensywy. Zaatakowano ponad 250 różnych obiektów, zadając wojskom amerykańskim i sajgońskim dotkliwe straty. Dowództwo USA w południowym Wietnamie nie ukrywa, że nowe operacje zbrojne partyzantów zaskoczyły interwentów. Nie sądzono — piszą dziennikarze amerykańscy — że partyzanci dysponują wciąż jeszcze dostatecznymi środkami, aby rozpętać tak wielką ofensywę, atakując równocześnie w różnych częściach kraju. Jest to — dodają — najpotężniejsza fala wystąpień w ciągu co najmniej 8 ostatnich miesięcy. Zdumiewa ich także to, iż pewna koncentracja ataków nastąpiła w 11 prowincjach wokół Sajgonu.

Ofensywa wojsk Frontu Wyzwolenia Narodowego ma znaczenie nie tylko militarne, ale i polityczne. Jest w pewnym sensie odpowiedzią na zwiększoną interwencję USA w Laosie i przewrót w Kambodży, mający na celu złamanie neutralności tego kraju.

Rozwój wydarzeń w Indochinach odbił się szerokim echem w ONZ. Krążą pogłoski o możliwości włączenia się do akcji, wyciszającej konflikty, sekretarza generalnego NZ — U Thanta. Z inicjatywą zwołania konferencji typu genewskiego wystąpiła Francja. Rozważana jest podobno ewentualność wniesienia sprawy Kambodży na forum ONZ. Agencje prasowe informują o liście księcia Sihanouka do U Thanta, w którym zawarte jest żądanie nieuznania reżimu Lon Nola i pozostawienia miejsca dla przedstawiciela Kambodży w ONZ aż do czasu przywrócenia tam konstytucyjnych rządów.

Wydarzenia w trójkącie: Wietnam, Laos, Kambodża mają znaczenie szersze niż tylko indochińskie i będą obserwowane z uwagą. Nie mogą one nie rzutować na inne międzynarodowe problemy. Jak ich jest wiele — nie trzeba czytelnikom przypominać. Jeden z nich, to rozbrojenie w jak najszerszym znaczeniu tego słowa.

O ważnym elemencie rozbrojenia: ograniczeniu zbrojeń strategicznych dyskutować będą wkrótce przedstawiciele dwóch wielkich mocarstw — Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. 16 KWIETNIA W WIEDNIU rozpoczynają się bowiem dwustronne rozmowy, do których wstępem była ubiegłoroczna wymiana poglądów w Helsinkach.

Jak już pisaliśmy, spotkania w Helsinkach zakończyły się akcentem optymistycznym, mimo iż miały one zaledwie charakter sondażowy i nie przedłożono żadnych szczegółowych propozycji. Rozmowy w Wiedniu, których tematem będą naziemne bazy pocisków balistycznych i system antyrakietowy, będą z pewnością trudne. Skomplikuje je fakt, że Stany Zjednoczone zamierzają rozpocząć w czerwcu budowę bazy rakiet, zaopatrzonych w pociski wielogłowicowe, naprowadzane na cel niezależnie. Oznacza to wejście na tory eskalacji zbrojeń — zarówno w dziedzinie konstruowania wielogłowic, jak i budowy skutecznych systemów antyrakietowych.

Przedstawiciele dwóch wielkich mocarstw będą w Wiedniu poszukiwali formuły zahamowania zbrojeń, która może uchronić przed znacznym wzrostem wydatków na cele militarne oraz wzrostem niebezpieczeństwa wybuchu wojny nuklearnej.

Z INNYCH WYDARZEŃ ostatnich dni odnotujmy uroczystości 25-lecia wyzwolenia Węgier, na które do Budapesztu przybyły wysokie przedstawicielstwa zaprzyjaźnionych krajów, wizytę w Polsce ministra Spraw Zagranicznych Turcji — Ihsan Sabri Caglayangila oraz wyjazd do Waszyngtonu kanclerza Brandta.

Cel tej ostatniej podróży „Frankfurter Allgemeine Zeitung" określa słowami: „Kanclerzowi chodzi obecnie o to, aby sięgając myślą w przód wymienić z Nixonem poglądy, dotyczące strategii politycznej wobec bloku wschodniego i Chin. Konieczność takiego „współbrzmienia" strategii jest bezsporna. Konsultacje między Bonn a Waszyngtonem, ożywione jak nigdy dotychczas, same jednak nie wystarczą".

Jaki będzie plon owego uzgodnienia strategii — przekonamy się wkrótce. W Waszyngtonie opinie o polityce Brandta są podzielone. Jeśli sekretarz Rogers zapewnia, że „administracja, jak dotychczas, jest w pełni zgodna z polityką wschodnią kanclerza", to inni ostro ją krytykują.

W. SŁAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

Wokół konferencji w Helsinkach

„DIE PRESSE — WIEDEŃ"

O Finlandii, maleńkim kraju, liczącym zaledwie około cztery i pół miliona mieszkańców, mówi się dzisiaj na całym świecie, przede wszystkim w aspekcie politycznym. Jak wiadomo, w maju 1969 roku rząd Finlandii wystąpił z propozycją zwołania w stolicy kraju, Helsinkach, ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa. Ta inicjatywa spowodowała wzrost prestiżu Finlandii na arenie międzynarodowej. Korespondent „Die Presse" przeprowadził wywiad z ministrem spraw zagranicznych Finlandii, Achti Karjalainenem:

Pytanie: Na pamiętny memoriał rządu Finlandii z dnia 5 maja 1969 r., który zawierał propozycję zwołania w Helsinkach ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa, odpowiedziało przeszło 20 państw. Co skłoniło wasz rząd do podjęcia takiej inicjatywy?

Odpowiedź: Przede wszystkim należy podkreślić, iż problemy naszego bezpieczeństwa wiążą się z problemami bezpieczeństwa całej Europy. Mamy nadzieję, że nasza inicjatywa przyczyni się do polepszenia atmosfery międzynarodowej, szczególnie w Europie.

Pytanie: Ostatecznym celem wysiłków, zmierzających do zagwarantowania pokoju jest pełne odprężenie w Europie i — co za tym idzie — stworzenie systemu bezpieczeństwa. Czy pana zdaniem osiągnięcie takiego celu jest możliwe bez uprzedniego umocnienia obecnego status quo w Europie?

Odpowiedź: Wychodziliśmy z założenia, iż nie należy wysuwać żadnych warunków wstępnych na tej konferencji i wszystkie odpowiedzi, które na naszą propozycję otrzymaliśmy dotąd, nie zawierały ich również. Moim zdaniem wszyscy uczestnicy zdają sobie sprawę z tego, że status quo, ukształtowany po drugiej wojnie światowej w Europie, nie może być zmieniony bez nowej wojny. A taka wojna, według wszelkiego prawdopodobieństwa, doprowadziłaby do trzeciej wojny światowej. Jednym z celów konferencji powinno być osiągnięcie porozumienia w sprawie stałych gwarancji bezpieczeństwa europejskiego.

Pytanie: Jaką rolę na konferencji będzie odgrywać problem niemiecki?

Odpowiedź: Jest to oczywiście zagadnienie wielkiej wagi. Jednakże dotąd nie wiadomo, jakie miejsce zajmuje ono na porządku dziennym. Być może, za najbardziej celowe uzna się, aby konferencję rozpocząć od omówienia mniej ważkich problemów.

Pytanie: A co uważa pan za mniej ważkie problemy?

Odpowiedź: Różne problemy współpracy krajów europejskich, na przykład w dziedzinie ekonomiki, techniki, kultury itp. Istnieje mnóstwo spraw, które trzeba uregulować i, które — jako mniej ważne — można by rozpatrzyć na początku spotkania.

Pytanie: Czy to oznacza, że na konferencji należy wysunąć jakąkolwiek formę współpracy ogólnoeuropejskiej?

Odpowiedź: A dlaczegóż by nie?

Budżet agresora

„REUTER" — LONDYN

W bieżącym roku na wydatki wojskowe Izrael wyasygnował około 510 milionów funtów szterlingów. Stanowią one przeszło 40 procent całego budżetu państwowego i są zarazem największymi środkami finansowymi, jakie kraj ten, od czasu powstania, przeznaczył na wojnę.

Przedstawiony projekt budżetu świadczy, iż wydatki wojskowe są największą jego pozycją i wynoszą 1250 milionów funtów szterlingów. Na bezpośrednie wydatki wojenne przeznacza się około 475 milionów funtów szterlingów, czyli o 62 miliony więcej, niż w ubiegłym roku.

Aby uzupełnić braki w budżecie, spowodowane zwiększonymi wydatkami militarnymi, Izrael podniesie podatki o około 125 milionów funtów szterlingów, tak, aby ogólny dochód z tego tytułu wyniósł 662 miliony funtów. Zagraniczne organizacje syjonistyczne ofiarowały Izraelowi około 160 milionów funtów szterlingów. Ponadto, tamtejszy rząd liczy, że wyegzekwuje około 75 milionów funtów szterlingów od 60 tysięcy imigrantów żydowskich, jak również bierze pod uwagę sumę 75 milionów funtów szterlingów, otrzymaną od NRF z tytułu odszkodowań „za poniesione straty".

Monopolizacja prasy w NRF

„DEUTSCHE VOLKSZEITUNG" — DUESSELDORF

Na początku tego roku Axel Springer zakomunikował o zamiarze zreformowania swego prasowego imperium. Jego pierwszym krokiem było powołanie towarzystwa akcyjnego z kapitałem 50 milionów marek. Jedynym akcjonariuszem tego towarzystwa, lub — jak się wyraził pewien znany zachodnioniemiecki spiker — „jedynym reakcjonariuszem" jest sam Axel Springer, do którego należą takie gazety i czasopisma, jak: „Welt am Sonntag", „Die Welt" „Bild am Sonntag", „Bild", „Hamburger Abendblatt", „Berliner Morgenpost", „B.Z." i wiele innych. Springer, którego koncern prasowy osiągnął w ubiegłym roku obroty w wysokości miliarda marek, zaraz po utworzeniu prasowej spółki akcyjnej zaserwował sobie szczodry prezencik — zmniejszenie podatku dochodowego. Wykorzystał do tego celu „prawo o zarządzeniach podatkowych przy zmianie charakteru przedsiębiorstwa", uchwalone w sierpniu 1969 roku i mające sprzyjać procesowi koncentracji w ekonomice.

Do rady nadzorczej nowo powstałego prasowego towarzystwa akcyjnego, jak poinformował powołany przez Springera jedyny członek „zarządu" — Peter Tamm, nie wejdą przedstawiciele ani robotników, ani urzędników, ani dziennikarzy, ponieważ chodzi tu o „przedsiębiorstwo z wyraźnie okreslonymi tendencjami..."

Niebezpieczne tendencje Springera są, oczywiście, znane już od dawna. Wraz z utworzeniem towarzystwa akcyjnego nasilą się one jeszcze bardziej, ponieważ, jak oświadczył Tamm, już w niedługim czasie poczyni się znaczne inwestycje. Posłużą one dalszemu wzrostowi springerowskiego imperium, wzbogacając je o nowe techniczne zakłady przemysłowe, drukarnie itp. Następnie Springer zamierza dobrać się do kina i telewizji.

Pierwsze kroki w tym kierunku zostały już zrobione. Springer stara się zdobyć 50 procent akcji towarzystwa „Atelier-Geselschaft", które kręci filmy telewizyjne. Chociaż 80 procent akcji tego towarzystwa ma w swym ręku firma reklamowa NNF, zabiegi Springera mają szanse powodzenia. W związku z tą sprawą gazeta związkowa „Welt der Arbeit" pisała niedawno: „Zarząd Północnoniemieckiego Radia nie widzi w tym nic szczególnego, że jego filia NWF — nosi się z zamiarem sprzedania Springerowi części swych akcji..."

Springer pragnie przedostać się do telewizji „wejściem kuchennym", aby rozszerzyć tam swoje wpływy. W oficjalnym powiadomieniu springerowskiego koncernu mówi się wyraźnie: „Axel Springer Ferlag-AG" — które w roku 1970 zostanie zmienione na „Towarzystwo Akcyjne Springer" — zamierza, uwzględniając istniejącą sytuację polityczną zachodnioniemieckiego radia i telewizji, wykorzystać wszystkie możliwości, które nadarzą się w toku dalszego rozwoju tych środków informacji".

Chodzi tu w pierwszym rzędzie o tzw. kasetowe telefilmy, które już w najbliższym czasie zamierza Springer produkować i masowo rozpowszechniać. Filmy te, przy pomocy dodatkowych urządzeń można „przekręcić" w warunkach domowych i oglądać na ekranach telewizyjnych. Gazeta „Welt der Arbeit" informuje, że taka adaptacja nazywana wideorekorderem) jest na razie bardzo kosztowna. Ale jest to tylko kwestia czasu. W końcu przecież telekasety staną się równie nieodłączną częścią naszego życia, co i magnetofon. Wiadomo że Springer dąży za wszelką cenę do tego, aby w porę wśliznąć się do radia i telewizji..."

Dzięki filmom kasetowym mógłby Springer któregoś pięknego dnia wprowadzić na ekrany telewizyjne codzienne telegazety i tą drogą prezentować milionom telewidzów swe reakcyjne poglądy.

Springer będzie oczywiście usilnie dążył do zawładnięcia telewizją. Właśnie w tym kierunku, już od kilku lat, działają w Bundestagu zwerbowani przez niego „urabiacze", zainstalowani we frakcji chrześcijańsko-demokratycznej. Oprócz tego pilnują jego interesów, solidnie przez Springera opłacani, niektórzy posłowie do parlamentu, a wśród nich zdymisjonowany wiceprezes landtagu Szlezwig-Holsztynu — Szwinkowsky.

Ściśle tajne

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE" — PARYŻ

Prezydent Nixon złożył oświadczenie, z którego wynika, że w walkach lądowych w Laosie nie zginął jeszcze ani jeden Amerykanin. Nie prawda.

W bitwie pod Muong Sai, na zachód od Doliny Amfor, zginął kapitan Joseph Bush, amerykański doradca wojskowy, przydzielony do armii królewskiej. Przeszyła go seria z broni automatycznej.

Kiedy kapitan stracił życie, nocowałem w obozie dla uchodźców, 30 mil na południe od Muong Sai. Gdyby nie przypadkowe spotkanie z pewnym Murzynem — sierżantem, który znajdował się wówczas przy kapitanie i, zraniony w prawe ramię, został odtransportowany na tyły, nigdy bym się nie dowiedział o tym wydarzeniu. Ambasada amerykańska w Vientiane wydała bowiem polecenie, żeby śmierć kapitana otoczyć ścisłą tajemnicą.

Bush nie jest jedynym, który zginął w walkach lądowych. Straciło w nich życie wielu młodych Amerykanów, znajdujących się na liście cywilnych pracowników różnych instytucji USA. Jeden z nich, Don Sjuestroem z Seattle w stanie Waszyngton, poniósł śmierć już w styczniu 1969 roku, w czasie ataku nieprzyjaciela na bazę wojskową w Nhak-Hai, na północ od Doliny Amfor.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zimą 1969 roku, kiedy znajdowałem się w północno-wschodnim rejonie Laosu, kapitan Bush i jeszcze około stu innych pracowników cywilnych zatrudnionych w armii USA brało udział w walkach lądowych, mimo, że przebywali tam pod szyldem dyplomatów — „pomocników attache wojskowego". Akurat w tym samym czasie, podtrzymywana przez CIA armia najemników na czele z gen. Wan Pao, znalazła się w nader ciężkiej sytuacji w prowincjach Sam Neua i Xiang Khouang. „Pomocnicy attache wojskowego" bronili wówczas górskich baz, rozrzuconych wokół Doliny Amfor. Wspierały ich samoloty myśliwskie i bombowce morskich sił powietrznych USA.

Pod Muong Sai przerzucono drogą powietrzną dywizjon artylerii ze składu sił zbrojnych Syjamu. Jego zadaniem było wsparcie ogniem zaporowym ataku na pozycje komunistów. Do dywizjonu artylerzystów syjamskich, których obecność w Laosie również trzymano w głębokiej tajemnicy, przydzielono jeszcze jednego kapitana armii amerykańskiej.

Bush i jego sierżant — Murzyn pomagali przy współdziałaniu syjamskiej artylerii, amerykańskiego lotnictwa i laotańskiej piechoty podczas ofensywy przeciwko oddziałowi komunistów, który okopał się kilka mil na wschód od Muong Sai. Oprócz Busha zginęło wówczas jeszcze jedenastu ludzi.

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

STANISŁAW POWOŁOCKI

Teatralne upodobania Lenina

Przez całe życie Lenin reagował na muzykę bardzo silnie. Szczególnie podobały mu się utwory Czajkowskiego i Beethovena. Lubił też operę. W liście pisanym do matki z dnia 9 lutego 1901 roku, Lenin, między innymi, zaznacza: *„Byłem w tych dniach w operze na „Żydówce", bardzo mi się spodobała — słyszałem ją raz w Kazaniu (kiedy śpiewał Zakrzewski*), chyba ze trzynaście lat temu, ale niektóre melodie utkwiły mi w pamięci."* Młodsza siostra Lenina, Maria Uljanowa, wspomina, że *„często potem gwizdał sobie owe melodie (na swój szczególny sposób, przez zęby)."*

Jednak, w późniejszych latach, przebywając na emigracji. Lenin stosunkowo rzadko bywał na operach i koncertach. Nawał pracy, zbyt skromny budżet osobisty oraz chroniczny brak czasu — nie pozwalały na takie rozrywki, jak uczęszczanie na koncerty, opery itp.

Z tych głównie powodów Lenin również stosunkowo rzadko bywał w teatrze. Według wspomnień bliskich mu osób, Lenin lubił chodzić do teatru, zwłaszcza, gdy po wytężonej pracy udawało mu się w ten sposób nieco „rozruszać". Jednakże, jak wspominają jego siostry, teatry zagraniczne (głównie niemieckie lub francuskie) „mało mu dawały zadowolenia. Niekiedy, oboje z Nadieżdą Konstantynowną, wychodzili z teatru po pierwszym akcie".

Co Lenin przede wszystkim cenił w teatrze? Jakie były jego upodobania, jako widza? Pośrednia odpowiedź na te pytania jest zawarta w słowach, jakie wypowiedział w 1915 roku, omawiając istotną wartość każdego dzieła artystycznego. *„Cały sens oraz główna wartość takiego dzieła* — powiedział wówczas — *polega na prawdzie oraz na wnikliwej analizie charakterów i wnętrza psychologicznego, działających w jego ramach postaci".* Te słowa Lenina przytacza w swoich wspomnieniach A. W. Łunaczarski, z którym nieraz i w różnych latach prowadził rozmowy i dyskusje na tematy z dziedziny sztuki i literatury. W swoich wspomnieniach o Leninie N. K. Krupska z naciskiem podkreśla, że „Iljicz nienawidził do głębi duszy wszelkiego rodzaju kotłuństwa, wszelkich konwenansów i, może dlatego właśnie, sztuka Lwa Tołstoja „Żywy trup" wywarła na nim ogromne wrażenie". Lenin widział ten utwór w 1915 roku w Bernie, w wykonaniu rosyjskiego zespołu dramatycznego. Później chciał nawet ponownie zobaczyć tę sztukę, którą uznał za „wstrząsającą".

Upodobania teatralne Lenina oraz jego wymagania, jako widza, określa również, pełny niekłamanego zachwytu, jego stosunek do Teatru Stanisławskiego, słynnego MCHAT-u. *„W Artystycznym — Powszechnym* (tak nazywano wówczas MCHAT — S. P.), *świetnie grają —dotychczas wspominam z przyjemnością, jak byłem tam w zeszłym roku"* — pisze Lenin w liście do matki z lutego 1901 roku. *„Ciągnie nas do rosyjskiego Artystycznego zobaczyć „Na dnie"* — czytamy w jego liście z 4 lutego 1903 roku.

O teatralnych gustach Lenina — widza, świadczą dobitnie, te sztuki, które utkwiły w jego pamięci. Już w czasie pierwszego pobytu za granicą, w 1895 roku, Lenin był w Berlinie na „Tkaczach" Hauptmanna. Sztuka mu się spodobała. Jak wiadomo, był nawet redaktorem pierwszego jej przekładu na język rosyjski. W latach 1909—1910, przebywając w Paryżu, Lenin był na rosyjskim przedstawieniu znanej sztuki Leonida Andrejewa pt. „Życie człowieka". W kilka lat później, zobaczył na scenie drugi utwór tegoż pisarza i dramaturga „Dni naszego życia". Według świadectwa Gorkiego i Łunaczarskiego, szczególnie spodobała mu się sztuka „Dni naszego życia". W początkach 1910 roku w liście do matki Lenin wydaje interesującą opinię o pewnej sztuce francuskiego pisarza P. Bourgeta: *„...Widziałem nową sztukę Bourgeta „La barricade". Reakcyjna, ale ciekawa".* Jak wiadomo, w tym utworze Bourget zadeklarował się, jako zaciekły wróg rewolucyjnego ruchu robotniczego. Jednak sztuka była napisana barwnie, z wielkim wyczuciem rytmu i nerwu scenicznego. Powyższa opinia Lenina, niewątpliwie świadczy o tym, że potępiając ideowy sens utworu, potrafił on, jako widz, dojrzeć i należycie ocenić dobre sceniczne „rzemiosło" jego autora.

Również w Paryżu Lenin z Krupską, w grudniu 1909 roku, znaleźli się pewnego wieczoru w małym teatrzyku francuskim. Znajdował się na przedmieściu i był uczęszczany przez publiczność robotniczą. Leninowi, jak wspomina Krupska, bardzo się spodobał teatr, przedstawienie oraz publiczność, żywo i bezpośrednio reagująca na to, co się działo na scenie. *„Sztuka była naiwna* — pisze Krupska — *z różnymi dobrymi powiedzonkami. Odnosiło się wrażenie czegoś bardzo żywego, bez pośredniego, szczerego i prawdziwego. I to właśnie bardzo się spodobało jemu"* (tj. Leninowi).

Interesująco przedstawia się stosunek Lenina do niektórych dramaturgicznych utworów Gorkiego. Niezwykle wysoko ceniąc Gorkiego, jako pisarza — prozaika, Lenin, tym niemniej, wypowiedział się pewnego razu dość sceptycznie o jego sztuce „Na dnie". Uważał ją, według świadectwa Marii Uljanowej, za „niezbyt sceniczną i teatralną". Sztukę tę Lenin zobaczył na scenie MCHAT-u dopiero po Rewolucji Październikowej. Natomiast, spodobał mu się inny dramaturgiczny utwór Gorkiego pt. „Starzec". Prapremiera tej wysoce interesującej sztuki odbyła się w 1919 roku na scenie Małego Teatru w Moskwie. Lenin był na tym przedstawieniu. Mówił później, że jest to *„jeden z najciekawszych, pod względem psychologicznym oraz samej akcji, utworów Gorkiego".* Wysoko też ocenił grę aktorów, zaznaczając, że *„szczerość przeżyć w pełni oddawała sens istotny utworu".*

Na scenie Teatru Artystycznego w Moskwie Lenin, poza „Wujaszkiem Wanią" Czechowa, oglądał także sceniczną przeróbkę utworu Dostojewskiego pt. „Wieś Stiepańczykowo". Lenin był na tym przedstawieniu 20 maja 1918 roku. We wspomnieniach znanego aktora, Włodzimierza Gajdarowa, który brał udział w przedstawieniu właśnie w tym dniu, czytamy, iż *„był to spektakl, główną zaletą którego była zaostrzona prawda życiowa oraz niezwykła poetyckość".*

Nie posiadamy, niestety, bezpośredniej opinii Lenina o tym przedstawieniu w jego ulubionym teatrze A. Łunaczarski w w swoich wspomnieniacn jednak zaznacza, że „Wieś Stiepańczykowo" uważana była za bardzo udane przedstawienie. Bardzo się spodobało w Moskwie. Szczególnie podobała się pełna wewnętrznego umiaru gra wszystkich wykonawców.

Na marginesie poglądów Lenina na sztukę sceniczną oraz dramaturgię, warto przytoczyć następujący fakt. W marcu 1922 roku pracownik Komisariatu Oświaty, pisarz P. Wojewodin, zwrócił się do Lenina z pewną prośbą. Chodziło o wydanie opinii. Wojewodin bowiem napisał sztukę, a raczej scenariusz p.t. „Włodzimierz Iljicz Lenin". Jak wiadomo, Lenin absolutnie nie znosił najmniejszych usiłowań „gloryfikacji" swej osoby. Utwór Wojewodina przekazał Krupskiej, prosząc ją o dokładne przeanalizowanie. Ale ostateczna opinia została wydana przez niego samego łącznie z Krupską. *„W utworze tego rodzaju* — stwierdza się, między innymi w tej opinii, — *należy operować wyłącznie faktami. Fakty muszą być oparte o prawdę. Sztuka bowiem nie znosi fałszu życiowego i psychologicznego. Zestawienie takich faktów winno być dokładnie przemyślane. Logika samej akcji obowiązuje, szczególnie, gdy chodzi o utwór tego rodzaju".* W konsekwencji, sztuka Wojewodina została uznana przez Lenina i Krupską za *„słabą, niedostateczną barwną, nie nadającą się do wystawienia".*

*) Znany tenor operowy A. Zakrzewski był bardzo popularny na scenach rosyjskich w dziewięćdziesiątych latach ubiegłego wieku. Był z pochodzenia Polakiem.

POLONICA

LEOPOLD STOKOWSKI O SOBIE

W lutym tego roku telewizja angielska przeprowadziła wywiad z wybitnym dyrygentem naszych czasów — Leopoldem Stokowskim. W wywiadzie tym, powtórzonym następnie przez radio brytyjskie, Leopold Stokowski wypowiedział się o swoich przodkach. Otóż z jego wypowiedzi wynika, że sam urodził się wprawdzie w Londynie, ale jego ojciec był Polakiem — emigrantem, który uszedł z Polski w obawie przed prześladowaniem ze strony władz carskich. Imię Leopold ma sławny dyrygent po dziadku, a nazwisko Stokowski nie jest — jak sądzą niektórzy — przybrane, lecz prawdziwe z dziada pradziada.

O PORONINIE I ŁODZI

Pisarz niemiecki, mieszkający w NRD, Kurt David, autor książki o Polsce „Polnische Etüden", opracował obecnie tom opowiadań „Begegung mit der Unsterblichkeit (Spotkanie z nieśmiertelnością), poświęcony Beethovenowi i jego muzyce. Jedno z opowiadań Davida, pt. „Appasionata", dziejące się w Polsce (w Zakopanem i Poroninie) wydrukował tygodnik „Sonntag" z 15 marca br. W tym samym numerze znajduje się obszerny artykuł pt. „Teatr Wielki und Wagner" (Neues Operhaus in Lodz), w którym autor, Ernst Krause, pisze z entuzjazmem zarówno o premierze „Lohengrina" Wagnera, jak i o samym gmachu i jego wyposażeniu. Artykuł ozdobiony jest zdjęciami, przedstawiającymi foyer Teatru Wielkiego i jedną scenę baletową z „Zemsty nietoperza" Johanna Straussa.

jk.

POLONICA

Prof. dr Adam Szpunar

Uniwersytet Łódzki wczoraj i dziś

Dalszy ciąg ze str. 1

Mam tu na myśli nie tylko zmiany ilościowe, choć one także ważą w ogólnym rachunku. Ale znacznie cenniejszy wydaje mi się rozwój wielu kierunków badawczych. Można przecież mówić o rozkwicie łódzkiej geografii, mikrobiologii i socjologii. Nazwiska uczonych z naszego ośrodka znane są nie tylko w Polsce, ale na całym świecie.

W ogóle w Łodzi został stworzony ośrodek dla nauk humanistycznych. Nie było to wcale sprawą łatwą, chociaż nie trzeba już było pokonywać tych trudności, które nieustannie dawały o sobie znać w pierwszym, bohaterskim okresie istnienia UŁ, znanym mi tylko z relacji, ponieważ przyjechałem do Łodzi w roku 1949, w okresie pewnego ustabilizowania życia uczelni. Zresztą od razu zostałem wciągnięty w wir zajęć administracyjnych. W roku 1950 zostałem dziekanem Wydziału Prawa, w roku 1956 rektorem Uniwersytetu Łódzkiego.

Praca organizatorska jest bardzo czasochłonna, rzadko można znaleźć chwilę na własne zajęcia. Ale może przynosić satysfakcję. Jako rektor miałem poczucie, że coś się dzieje, kiedy udawało się przezwyciężyć jakąś trudność, bo kłopotów nigdy przecież nie brak. Pamiętam jaką satysfakcję sprawiło nam wszystkim otwarcie Biblioteki Uniwersyteckiej w 1960 roku. Dzisiaj służy ona nam wszystkim, ale przecież budowa gmachu przysporzyła wiele kłopotów. Zresztą nie tylko biblioteka. W tym okresie udało się zdobyć także gmach dla Wydziału Prawa, dzięki czemu poprawiły się warunki pracy naukowców i studentów.

Ale rozwój Uniwersytetu to nie tylko inwestycje i nie tylko uroczystości o charakterze naukowym. Bardzo poważnie, zarówno ilościowo jak i jakościowo, wzrosła kadra uczonych. Jest coś optymistycznego w tym, że ludzie, którzy jeszcze dziesięć lat temu zdobywali dopiero tytuły doktorów, docentów, profesorów, są dziś rektorami czy prorektorami. Wskazuje to zarazem na sprawność działania naszej uczelni, która w roku 1945 opierała się na kadrze niejako obcej, z innych uniwersytetów. Wielu z tych przybyszów wróciło zresztą później do swoich macierzystych ośrodków, my zaś zaczęliśmy się dorabiać własnych doktorów, docentów, profesorów. Nasi wychowankowie stali się samodzielnymi pracownikami nauki, uczonymi o poważnym dorobku. Ta samowystarczalność Uniwersytetu Łódzkiego jest jednocześnie potwierdzeniem jego rangi naukowej.

Wielkim źródłem satysfakcji jest dla mnie zorganizowanie Katedry Prawa Cywilnego, którą mogłem się zająć już po przekazaniu obowiązków rektorskich swemu następcy. I myślę, dobrze się stało, że na naszym Uniwersytecie rektorat nie jest ukoronowaniem kariery naukowej, że mamy często rektorów młodych, pełnych energii i zapału, a to już przecież połowa powodzenia w trudnych przedsięwzięciach organizatorskich.

Niech mi będzie wolno na zakończenie tej wypowiedzi wpleść jakiś akcent osobisty. Uważam lata, w których sprawowałem obowiązki rektorskie, za okres pomyślny w mym życiu, chociaż zajęcia administracyjne odrywały mnie od podstawowego warsztatu pracy, jakim jest katedra. Oczywiście zarówno przedsięwzięcia organizatorskie jak i praca naukowa dają wiele satysfakcji, ale z perspektywy lat widzę, że praca dydaktyczna może przynosić także wiele zadowolenia, czasem więcej nawet niż ogłoszony artykuł czy książka. Cieszą mnie sukcesy moich najbliższych współpracowników: mają już za sobą przewody habilitacyjne dr Petrykowska i dr Rembieliński.

Obserwując rozwój Uniwersytetu jestem optymistą. Poczęty w trudnych warunkach, umocnił się przez te lata swego istnienia, swojej wytężonej działalności. Będzie się dźwigał nadal, choć nie wymagajmy wszystkiego od razu. Niecierpliwość może tylko zaszkodzić.

Dalszy ciąg ze str. 1

— Sformułowanie to jest bardzo znamienne. Przestrzega ono przed zbyt zacieśniającą, a przez to nieprawidłową interpretacją i rozumieniem istoty Frontu Jedności Narodu.

Idea FJN w Polsce nie sprowadza się bowiem tylko do współpracy Partii i stronnictw politycznych. W skład FJN wchodzą wszystkie organizacje społeczne i zawodowe, środowiskowe i młodzieżowe. W koncepcji FJN mieści się więc sojusz i współpraca partyjnych i bezpartyjnych. W ramach FJN jest trwałe miejsce dla wszystkich obywateli PRL, powodujących się patriotyzmem i poczuciem społecznego obowiązku, pragnących służyć swojemu krajowi, budującemu socjalizm — niezależnie od ich przekonań religijnych, czy przeszłości politycznej.

Tak rozumiana i w praktyce realizowana koncepcja FJN odpowiada politycznym założeniom i zasadniczym tendencjom rozwojowym socjalistycznej demokracji w naszym kraju.

— Jakie najważniejsze funkcje ma do spełnienia Front Jedności Narodu?

— Rola Frontu Jedności Narodu, przejawiająca się w działalności jego komitetów sprowadza się do wykonywania zadań o charakterze ustrojowym oraz podejmowania i wykonywania zadań o charakterze społecznym.

— Czy zechciałby Pan rozwinąć zagadnienie funkcji ustrojowej FJN na przykładzie naszego miasta?

— Nietrudno dostrzec rolę, jaką komitety Frontu Jedności Narodu odgrywają w zakresie wypracowania wspólnego programu wyborczego przez skupione w nim organizacje polityczne i społeczne oraz zgłaszania wspólnej listy kandydatów na posłów i radnych. Program FJN nie tylko określa polityczną treść kampanii wyborczej. Nadaje on również kierunek powszechnej dyskusji, której przedmiotem są wszystkie najważniejsze problemy kraju i miasta. Program wyborczy FJN, po przyjęciu przez ogół wyborców, którzy oddali swe głosy na kandydatów FJN, stanowi dla posłów i radnych wytyczną działania. Komitety FJN rozwijają dużą aktywność ideologiczno-organizatorską, która ma służyć zbliżaniu obywateli do organów władzy. Organizowanie spotkań posłów i radnych z wyborcami, zbieranie wniosków i postulatów wyborców, uczestniczenie w ich rozpatrywaniu, kierowanie ich do właściwych organów państwowych, jak również kontrola ich wykonania — to tylko niektóre przejawy działalności komitetów FJN. Ponadto współdziałają one aktywnie w wyborach ławników ludowych, członków kolegiów karno-administracyjnych, społecznych komisji pojednawczych i samorządów lokalnych.

— Równie ważna jest funkcja społeczno-wychowawcza FJN.

— Oczywiście. Front Jedności Narodu odgrywa bardzo istotną rolę w dziedzinie stosunków społecznych. Komitety FJN są szkołą społecznego zaangażowania tysięcy obywateli, niezależnie od dzielących ich różnic światopoglądowych.

Komitety FJN oraz działające przy nich komisje i zespoły specjalistyczne, ściśle współpracują z organizacjami społecznymi w zakresie racjonalnego wykorzystania inicjatywy społecznej. To właśnie pod egidą komitetów FJN realizowano przez kilka lat wielkie przedsięwzięcie budowy tysiąca szkół na Tysiąclecie. Obecnie pod hasłem „Naród swojej młodzieży" — kontynuuje się budowę szkół i internatów.

Organizując manifestacje patriotyczne oraz uroczyste obchody różnych rocznic regionalnych, komitety FJN stały się również szkołą patriotycznego wychowania. Szczególne znaczenie miało organizowanie obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego i dwudziestopięciolecia Polski Ludowej, a aktualnie — XXV-lecia zwycięstwa nad faszyzmem oraz powrotu Ziem Zachodnich i Północnych do Macierzy.

Organizowanie systematycznej informacji społeczno-politycznej, popularyzowanie wiedzy, rozwijanie działalności kulturalnej, utrwalanie socjalistycznych zasad współżycia, to także doniosłe przedsięwzięcia, ilustrujące ten profil działania Frontu Jedności Narodu.

Szeroki udział komitetów FJN w obchodach setnej rocznicy urodzin W. I. Lenina ułatwia obywatelom pogłębienie wiedzy o dziele twórcy i organizatora pierwszego państwa socjalistycznego.

— Jaką rolę spełniają komitety FJN wśród licznych organizacji i stowarzyszeń, działających w miejscach zamieszkania?

— W miejscu zamieszkania, obok komitetów domowych i blokowych — zwanych samorządem mieszkańców — coraz aktywniej rozwija działalność społeczną jeszcze siedemnaście innych organizacji i stowarzyszeń. Łącznie skupiają one w Łodzi ponad 120 tysięcy aktywistów terenowych, w tym ponad 50 procent bezpartyjnych. Zakresem celów oraz przestrzennym zasięgiem działania związane są one z osiedlami, blokami i innymi mikrorejonami miasta. Ich terytorialny zasięg działania zsynchronizowaliśmy z terenami działania komitetów blokowych. Rozwiązanie takie okazało się słuszne, ponieważ pozwoliło skupić na każdym terenie liczny aktyw społeczny, który jest zdolny do podejmowania i rozwiązywania coraz poważniejszych zadań własnymi siłami społecznymi.

Nie ograniczając w niczym statutowych uprawnień tych organizacji, dążyliśmy jednak do stałego umacniania terenowych komitetów FJN, jako najszerszej płaszczyzny obywatelskiego współdziałania, jako platformy uzgodnień i koordynacji najważniejszych przedsięwzięć i uzyskiwania tą drogą coraz bardziej efektywnych i racjonalnych osiągnięć w pracy społecznej. Tak rozumianą działalność komitetów terenowych FJN będziemy nieustannie rozwijać i doskonalić.

— Jakie formy aktywnej działalności komitetów FJN uważa Pan za najbardziej słuszne i celowe?

— Komitety FJN w okresie kilkunastoletniej działalności nabyły wiele doświadczenia oraz umocniły się organizacyjnie i kadrowo. Z doraźnych kolektywów, powoływanych do przeprowadzenia kampanii wyborczych, ukształtowało się 177 terenowych komitetów FJN, które odeszły od kampanijności i pracują planowo i systematycznie.

Na czoło ich zadań wysuwają się problemy współdziałania z organami władzy ludowej w zakresie aktywizowania obywateli do pełnego wykonania programu wyborczego. Nie tracąc z pola widzenia problematyki społeczno-gospodarczej, dalszego upowszechniania czynów społecznych, których wartość, wraz ze świadczeniami pieniężnymi na SFBSiI, wyniosła w 1969 roku ponad 146 milionów złotych, czyli około 11 procent planu inwestycyjnego miasta — na pierwszy plan wysuwamy pracę ideowo-polityczną i wychowawczą. I to nie tylko z okazji organizowania obchodów związanych z rocznicami państwowo-historycznymi. Pragniemy, aby komitety FJN brały pod uwagę tę wszystkie problemy, które niesie codzienne życie więc złożone problemy budownictwa socjalistycznego oraz aktualne wydarzenia w kraju i na arenie międzynarodowej. Działacze komitetów FJN wychodzą już w tej dziedzinie naprzeciw zainteresowaniom mieszkańców naszego miasta.

Zadanie to jest tym ważniejsze, że liczne grupy społeczeństwa Łodzi — renciści, osoby nie pracujące zawodowo, rzemieślnicy i rolnicy zwracają się do komitetów FJN z prośbą o pogłębione informacje na tematy polityczne i gospodarcze, a także organizowanie prelekcji w zakresie popularyzacji wiedzy, jak również spotkań z literatami oraz wieczorków dyskusyjnych.

Ze wszech miar będziemy popierać i te wysiłki komitetów FJN, które zmierzają do rozwijania pracy kulturalno-oświatowej i sportowej wśród młodzieży, do rozwoju świetlic społecznych, budowy stadionów, boisk, placów zabaw i ogródków jordanowskich, rozszerzających bazę rekreacyjno-wypoczynkową, do niesienia pomocy społecznej ludziom, którzy na tę pomoc oczekują, do umacniania porządku i spokoju w mieście oraz kształtowania harmonijnych stosunków społecznych, odpowiadających socjalistycznym zasadom współżycia społecznego.

Ogrom zadań i różnorodność form oraz metod działania komitetów FJN stwarzają więc rozległe pole do popisu wszystkim obywatelom, którzy, zgodnie z zainteresowaniami i kwalifikacjami, pragną uczestniczyć w pracach społecznych, przyczyniać się do szybszego rozwoju kraju i naszego miasta.

— Wspomniał Pan o samorządzie lokalnym. Jak ocenia Pan jego działalność i perspektywy rozwojowe?

— Praktyka dowiodła w sposób oczywisty, iż samorząd mieszkańców, poparty autorytetem terenowych grup pracy partyjnej oraz wszystkich organizacji społecznych, skupionych w terenowych komitetach FJN, spełnia coraz poważniejszą rolę. Postępujący proces uspołeczniania obywateli naszego miasta zbiega się z energicznym dążeniem działaczy samorządów lokalnych do odegrania znacznie poważniejszej roli, niż zakładają aktualnie obowiązujące przepisy prawne. Samorząd może i powinien spełniać znacznie szersze i odpowiedzialniejsze zadania we wszystkich istotnych sprawach, interesujących mieszkańców osiedli, bloków i domów. Może, i powinien on spełniać nie tylko rolę transmisji w dół, ale i w górę, od mieszkańców do organu władzy szczebla dzielnicowego i miejskiego.

Prowadzona dyskusja nad nowelizacją przepisów prawnych wychodzi więc na przeciw powszechnym tendencjom działaczy społecznych. Uchwalenie nowych przepisów prawnych spełni wysuwane postulaty i będzie dalszym krokiem na drodze rozwoju samorządu lokalnego, a tym samym demokratyzacji naszego życia.

— Od jakich czynników, Pana zdaniem, jest uzależniony dalszy wzrost autorytetu i popularności komitetów FJN?

— Autorytet komitetów FJN, podobnie zresztą jak i każdej innej instytucji, zależy od tego, w jakim stopniu potrafią one sprostać swym zadaniom oraz w jakim stopniu, w ramach określonych funkcji, będą umiały zaspokoić oczekiwania społeczeństwa naszego miasta.

Tylko na drodze skutecznego zaspokajania określonych potrzeb społeczeństwa, tylko ofiarną i konstruktywną pracą zdobędą komitety FJN uznanie i szacunek obywateli Łodzi.

Zarówno z treści, jak i z ducha uchwał V Zjazdu PZPR wynika, że komitety FJN są i będą trwałymi instytucjami ustrojowymi, instrumentami społecznego wychowania i współrządzenia przez cały czas budownictwa socjalistycznego.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Sprawy ludzkie — sprawy nasze

HENRYK DUDEK

SZKLANE DOMY WŚRÓD SOSEN

Cuchnący spaloną benzyną „Żuk" pędzi po oblodzonej szosie. Za kierownicą mężczyzna w wysokich filcowych butach, szarym, zrudziałym kożuchu i przybrudzonej, futrzanej czapie. Raz po raz zaciąga się papierosem. Od gęstniejącego w kabinie dymu mruży zmęczone oczy. Ciężko się dzisiaj jedzie. Śnieg nie odgarnięty. Od dwóch dni w drodze. Ze Starachowic wiezie nowe podnośniki pneumatyczne. Pod Kielcami utknął w zaspie. Klnie twardo, po chłopsku. Spóźni się do fabryki. Punktualnie o czwartej zamykają bramę, a jest już dwadzieścia po trzeciej. Nawet nie zdąży kupić w miasteczku kilograma razowego chleba, a przecież przyrzekł żonie.

U nich w Grębieniu rzadko dowożą świeże pieczywo. Wyboista droga. Latem furgon przejedzie. Ale zimą ani rusz. Chłopi w ostateczności czyszczą zapomniane piece domowe i pieką dwukilowe bochenki. Odwykli od tego. Czas dawniej tracony na wypiek, czy robienie masła, spędzają przy telewizji. Co trzeci gospodarz ma aluminiową antenę na dachu. Nieraz słomiana strzecha kryje więcej zdobyczy współczesnej techniki niż czerwona dachówka miejskiej kamienicy. Lodówki, pralki, odkurzacze. Widać nowe życie dzisiejszej polskiej wsi.

Jeszcze jeden zakręt i niebieski, odrapany „Żuk" wpada w pierwsze zabudowania miasteczka. Szare, pojedyńcze domki ustępują piętrowym kamienicom. Na rynku znana z prasy warszawskiej restauracja. Przypomina raczej dobrą knajpę. Codziennie w południe zatrzymuje się tutaj na dwadzieścia minut pośpieszny z Warszawy do Kudowy. Kierownik lokalu wyrzuca zapijaczonych gości. Zmienia szybko obrusy. Wyciąga z kuchni jedynego kucharza; przez dwadzieścia minut będzie kelnerem. Wyjmuje z szafy kilkanaście całych talerzy. Dziennikarz, który napisał artykuł trafił na tę krótką chwilę. Pochwalił. Za dobrą jajecznicę i flaki.

Praszka. Niedawno to miasteczko było pospolitą polską wsią, jakich wiele na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Położone na polodowcowych wzniesieniach nie stanowiło dobrego zaplecza dla miejscowego rolnictwa. Gleby piaszczyste i gliniaste. Studnie mają tutaj po kilkanaście metrów głębokości. Jest ich niewiele. Pobliskim lasom białe i żółte piaski wystarczają do długoletniej wegetacji. Są turystyczną wizytówką okolicy. Latem i jesienią przepełnione autobusy przywożą codziennie setki zmęczonych miejskim gwarem mieszkańców Śląska, Częstochowy. Późno wieczorem odjeżdżają, pozostawiając po sobie wesołe nawoływanie i radość z przyjemnych chwil na łonie natury.

Na początku lat sześćdziesiątych przyjechali nieznajomi w eleganckich garniturach i białych koszulach. Czarną „Wołgą". Na rejestracji: WE-34-51. Usmarkana gromada ciekawskich dzieci obstąpiła oryginalnych w tych stronach gości. Na zakurzonej karoserii napisali koślawymi literami „Brudas". Nieznajomi wyjęli z lśniących teczek jakieś papiery. Podobno plany budowy. Tak oświadczyli sołtysowi w gumowych butach. Stary partyzant z tutejszych lasów nie stracił poczucia obowiązku batalionowego zwiadowcy. A nuż jacyś szpiedzy. Tyle się słyszy przez radio. Obcy o delikatnej twarzy jegomość zakreślił palcem duże koło na polach za niewielką rzeką. W bok od poniemieckiej szkoły zawodowej. Nikt nie wiedział co to miało oznaczać. Po godzinie odjechali w stronę zachodzącego na horyzoncie słońca.

W dwa miesiące po tajemniczej wizycie, dziesięciu chłopów dostało od kulawego listonosza zawiadomienie. Państwo chce od nich kupić część ziemi. Kto nie chce sprzedać, otrzyma tyle samo w innym miejscu.

Zawrzało we wsi. Mają sprzedawać ziemię mokrą od potu dziada, pradziada? Nigdy! Choćby mieli zginąć, nie oddadzą ziemi. Na pierwszych geodetów rzucili się z siekierami. Dochodziło do bójek, które rozwiązywała dopiero milicja z odległego powiatowego miasta.

W ciągłym strachu i nieufności budowali nowoczesny Zakład Sprzętu Motoryzacyjnego POLMO. Przyszłe oszklone hale produkcyjne na podmokłych łąkach stawiali dłużej niż zwykle. Część czuwała nad bezpieczeństwem, a drudzy kopali doły pod żelazne filary podpór. Po kilku miesiącach miejscowi ostygli z gorących zamiarów. Państwo zapłaciło wiele tysięcy. Nieraz przepłacało. Chłopi zrozumieli, że za otrzymane tysiące kupią nie tylko ziemię, ale i nowe maszyny, postawią stodoły, zreperują stare obory. Doszło nawet do tego, że przychodzili pomagać przy dźwiganiu ciężkich drewnianych rusztowań, gdy robotnicy z rezygnacją siadali na trawie. Nie wszyscy. Bogaci gospodarze nadal buntowali i szykowali siekiery na moment nieuwagi, czy odpoczynku po pracy w zbudowanych na łąkach barakach. Im chodziło o letnich robotników na żniwa, którzy staną przy fabrycznej tokarce; o bezpłatną trawę pod lasem, gdzie wyrośnie osiedle.

— Ogólnie, produkcja zakładu w bieżącym roku wzrośnie o 55 proc. Ze 157 do 242 mln złotych — mówi barczysty, krótko przystrzyżony mężczyzna. Nastąpi także wzrost zatrudnienia z 620 do 740 osób. Stopień pokrycia produkcji wzrostem wydajności pracy, zwiększy się o 23 proc. Państwo przydzieli nam nowe nakłady inwestycyjne w sumie 26 mln zł. Elementy uszczelniania pomp wodnych — sprowadzane dotychczas z zagranicy — zastąpimy niedawno wynalezionymi na Politechnice Warszawskiej. Zaoszczędzi się przez to 280 tysięcy zł dewizowych.

Fakty, dane liczbowe, państwowe uchwały oraz wytyczne. Na egzekutywie siedzi kilkunastu inżynierów różnych specjalności. W średnim wieku. Są też młodzi. Po stażu. Oni najwięcej dyskutują. Świeże projekty popierają przykładami ze studiów, z praktyk za granicą i w dużych ośrodkach krajowego przemysłu. Chcą być przydatni, produktywni — jak im życzył rektor podczas wręczania dyplomów. Od czasu przybycia do zakładu w wielu sprawach otrzymali wolną rękę. Dyrektor pozwolił. Ma zaufanie. Gdy się nieraz zawiodą na własnych projektach — pomaga i radzi. Przecież sam przed kilkoma laty siedział w ciasnym audytorium. Po pracy rozmawia o studiach ze stażystami. Zaprasza do gabinetu. Na niskim stoliku stawia butelkę dobrego koniaku. Nieraz zagrają w brydża. Dawniej mówili przełożeni i robotnicy — fajny chłop. Równy. I teraz jest równy. Nie zmienił się. Nosi tylko inny garnitur. Poprzedni służył mu jeszcze na studiach. A dyrektor powinien godnie reprezentować firmę.

Gdy jesienne roztopy w ciemne bajoro zamienią nie wycementowany plac przed halą montażu, nie wstydzi się ubrać poczciwych gumiaków z jęczmienną słomą w środku. Na stażu w odlewni pod Żywcem pracował w gorszych warunkach. Nikt tam nie patrzył na ma-

JERZY M. FIEDOSIEJEW

Największa szansa Malborka

OPOWIEŚĆ BRZMI TROCHĘ NIEWIARYGODNIE, ALE JEJ ZGODNOŚĆ Z PRAWDĄ GWARANTUJE AUTORYTET MEGO ROZMÓWCY.

Przed bodaj dwoma laty — mówi zastępca dyrektora Muzeum Zamkowego w Malborku, Tadeusz Wilga — przyjechała do nas ekipa telewizyjna z Niemieckiej Republiki Federalnej. Kręciła reportaż o naszych Ziemiach Zachodnich. Chodząc po mieście ustalaliśmy co warto sfilmować. Było nas kilka osób. Wśród nich młoda, przystojna asystentka operatora. Co tu ukrywać — ładne kobiety zawsze przyciągają wzrok mężczyzn. Być może za często na nią spoglądałem, dość, że zauważyłem... Wąskotaśmową, ukrytą pod płaszczem, kamerą filmowała ruiny, które przecież jeszcze tu i ówdzie są widoczne. Znam niemiecki. Powiedziałem: „Niech się pani nie fatyguje. Na zamku pokażę pani gruzowiska znacznie bardziej fotogeniczne". Jeśli powiem, że poczuła się nieswojo, będzie to określenie bardzo delikatne.

☆

Początek nie należał do najłatwiejszych. Warunki naturalne Malborka, miasta położonego na prawym brzegu Nogatu, spowodowały, że w ostatnim okresie II wojny światowej stało się ono twierdzą wściekle bronioną przez cofające się oddziały hitlerowców. Spora część miasta przestała istnieć. Zamek ocalał, ale wyszedł z opresji niesamowicie pokiereszowany. Początkami swymi sięgający XIII wieku, w roku 1945 wyglądał jak sito.

W pierwszych latach powojennych nikt się też nim zbytnio nie interesował. Były sprawy pilniejsze. Ale już wówczas wielu ludzi zdawało sobie sprawę, że zamek jest największą, jeśli nie jedyną, szansą Malborka. Cukrownia, węzeł kolejowy i wyznaczenie miasta na siedzibę władz powiatowych nie dawały jeszcze zbyt szerokich perspektyw rozwojowych. Zdający sobie z tego sprawę, należeli jednak do mniejszości. Pozostali bądź byli obojętni, bądź też wysuwali śmiałą tezę mówiącą o konieczności zniszczenia zabytku, wiążącego się z niezbyt przyjemnym okresem w dziejach naszego narodu. Rozpętała się dyskusja, w której angażowały się poważne autorytety naukowe. Zwyciężył zdrowy rozsądek i zamkowi darowano życie.

Ale jakie to było życie... Przez długie lata nikt dokładnie nie wiedział, kto się ma zaopiekować zabytkiem, a jego gospodarze zmieniali się niemal co roku. Nie kończące się spory kompetencyjne uczyniły z zamku — należącego dziś do zabytków klasy „zerowej" i podlegającego ochronie międzynarodowej — piłeczkę ping-pongową odbijaną przez szereg instytucji. Tymczasem zaś budowla niszczała, freski pokryła pleśń, po korytarzach hulał wiatr i myszkowali amatorzy skarbów. Nie całkiem zresztą bezowocnie, o czym świadczy wyciągnięta niedawno na światło dzienne sprawa malborskich witraży.

Późną wiosną 1959 roku na zamku wybuchł pożar, którego przyczyną była stara, zdewastowana instalacja elektryczna. Spora część dachu poszła z dymem. W jakiś czas potem idący od Bałtyku sztormowy wiatr zwalił wysokie, niedbale zabezpieczone kominy, sterczące nad pogorzeliskiem. Straty były jeszcze większe niż te, spowodowane przez pożar. Runęły charakterystyczne, tzw. palmowe sklepienia dwóch sal narożnych. To był ostatni dzwonek alarmowy, sygnalizujący konieczność wreszcie poważnego zainteresowania się zabytkiem. Poskutkował, choć prawie z dwuletnim opóźnieniem.

1 stycznia 1961 roku powstało Państwowe Muzeum Zamkowe w Malborku, podległe bezpośrednio Ministerstwu Kultury i Sztuki. Jeden z najcenniejszych na polskich ziemiach zabytków architektonicznych otrzymał wreszcie w pełni kompetentnego i troskliwego opiekuna.

Dla zamku nastały dobre czasy. Przede wszystkim odbudowano spalony dach i zrekonstruowano znajdujące się pod nim sale. Już nie po partacku, lecz pod fachowym nadzorem architektów i historyków sztuki. Dachówki zaczerwieniły się też nad północno-wschodnim skrzydłem zamku wysokiego oraz wschodnim — zamku średniego. Strzeliła w górę wieża zamkowa, w czasie wojny zniszczona niemal do fundamentów. Nie wspominając o pracach drobniejszych, w sumie; w ciągu dziewięciu lat wydano na prace konserwacyjne ponad 35 mln zł. Niebagatelna suma.

Ale też i niebagatelny obiekt. 204 pomieszczenia, 260 tys. metrów sześciennych, 18 hektarów powierzchni!

W jednej z sal, w której mieści się gabinet T. Wilgi kulimy się obaj z zimna, choć stojący w rogu kaflowy piec trzaska z gorąca.

— Ogrzewanie — mówi wicedyrektor — to jeden z najpoważniejszych problemów. Teoretycznie już go rozwiązaliśmy. Z pomocą Katedry Elektrotermii Politechniki Łódzkiej. Będziemy ogrzewali podłogi. Trochę na zasadzie kuchenki elektrycznej. Ciepło będzie dawała spirala elektryczna żarząca się w betonie. Tego typu urządzenie jest praktycznie niezniszczalne. Wytrzymałość spirali wynosi około 1.500 stopni C, podczas gdy temperatura robocza nie przekroczy 150 stopni C. W dodatku — bez dostępu powietrza.

— Mamy jednak kłopoty z realizacją. Potrzebny jest specjalny kabel zasilający, którego — również prototypowej — produkcji podjęła się Krakowska Fabryka Kabli. Ale, pan wie... Dotychczas ogrzewanie zainstalowaliśmy jedynie w sali rycerskiej. Jeszcze nie działa. Oprócz kabla nie mamy też jeszcze stacji transformatorowych. C z t e r e c h.

— Bez ogrzewania zaś niewiele zdziałamy. Każdego roku jesienią musimy likwidować wszystkie wystawy. Ile ich jest? Niech pan posłucha: wystawa bursztynu, jedyna tego typu w świecie, pokazująca historię jantara od początku — od tworzywa, poprzez najstarsze z niego wyroby, aż po czasy dzisiejsze. A dalej: co dwa lata Międzynarodowe Biennale Exlibrisu Współczesnego; dzieje budowy i odbudowy zamku malborskiego; historia Ziemi Malborskiej, wystawa wnętrz, wystawa architektoniczna. Przygotowujemy: dzieje stosunków polsko-niemieckich, otwarcie zbrojowni zamkowej, wystawę witraży. Mało?

— Dużo.

— Do czasu powstania muzeum praktycznie nie było ani jednego eksponatu. Obecnie mamy: 1500 eksponatów z dziedziny archeologii, 98 — z historii, przede wszystkim dokumentów; 3.100 — sztuki, 1.560 — numizmatyki. Jest co pokazywać. I jest komu.

— W 1961 r. zamek malborski zwiedziło 180 tys. osób, w tym 6 tys. turystów zagranicznych. W roku ubiegłym: 364 tys. turystów krajowych i 46 tys. zagranicznych. W 1969 r. zorganizowaliśmy 80 odczytów dla 3.900 słuchaczy oraz 24 imprezy, w których uczestniczyło ponad 16 tys. osób. Te cyfry coś mówią. Aha, jeszcze jedno. Pod względem frekwencji mamy czwarte miejsce w kraju: po Muzeum Narodowym, Wawelu i Muzeum w Oświęcimiu.

Ale wiele jeszcze zostało do zrobienia. Musimy wybudować sieć wodociągową. Potrzebne nam jest dodatkowe, niezależne od miejskiego, ujęcie wody na Nogacie. Montujemy kanalizację. Czynna już jest centrala telefoniczna, posiadająca ponad 100 numerów. W trakcie budowy jest przepompownia, niezbędna na wypadek pożaru. Nauczeni smutnym doświadczeniem... Wszystkie prace, zarówno bieżące jak i renowacyjne, chcemy zakończyć do roku 1975. Pozostały nam więc zaledwie cztery lata. Mam nadzieję, że zdążymy.

Dobrze znam zamek malborski. Od dłuższego czasu obserwuję jak się zmienia. Z roku na rok. Jak wraca do swego dawnego, historycznego kształtu. I ja też mam nadzieję. Mam nadzieję, że za kilka lat zachodnioniemieccy operatorzy filmowi nie znajdą w Malborku ruin...

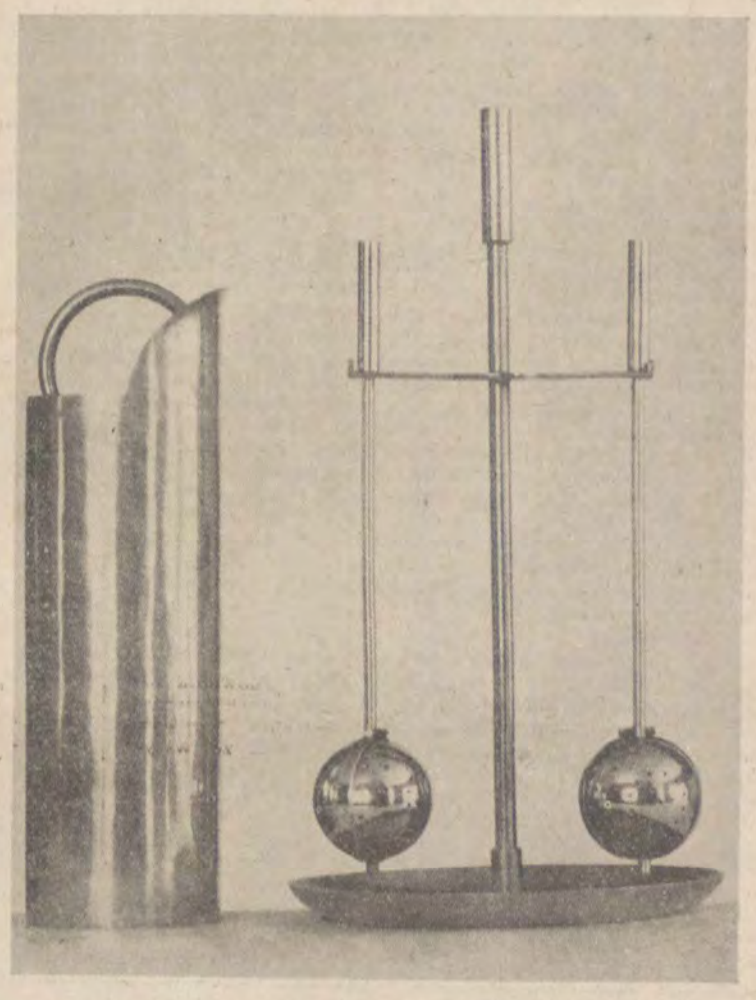

gisterski dyplom inżyniera metalurgii. Liczyły się sprawne ręce i szybki refleks, by rozżarzona do białości surówka nie wyciekła z opuszczanej do form kadzi. Na Politechnice również pracował. W Studenckiej Spółdzielni Pracy „Grosik". Nie to co dzisiaj. Na parę czerwonych banknotów trzeba było się porządnie namęczyć. Bawił dzieci, mył okna, trzepał dywany, malował mieszkania, dekorował wystawy. Najmowano go nawet jako czwartego do brydża. Przy przegranej zwracali mu pieniądze.

Ma 34 lata. Studia ukończył w 1959 roku na Wydziale Metalurgicznym Politechniki Częstochowskiej. Gdy wręczali mu dyplom, zaczynał 23 rok życia. Umiał zjednywać sobie przyjaciół. Towarzyski i pracowity. Nie był wcale wybitnie zdolny. W zakładzie — wymagający i surowy. Nie znosi asekuranctwa, obijania się i złej roboty. Każdy musi dać z siebie maksimum wysiłku, a będą premie, nagrody, wycieczki. Jeździ często do województwa. Tu w Łodzi go poznałem, kiedy szukał noclegu w naszej akademickiej „trójce". Załatwia nowe inwestycje, premie i inne niezbędne dla życia zakładu i ludzi sprawy. Nieraz prosi, błaga. Na odpowiedź „Teraz nie możemy, ale w przyszłym roku na pewno" reaguje po studencku. Przyjeżdża jeszcze raz. Aż do skutku.

— Gdy przenieśli mnie z Fabryki Urządzeń Mechanicznych w Częstochowie do tego miasteczka na dyrektora, byłem już starym wygą w organizacji i działaniu przemysłowego zakładu. Załoga okazała się ofiarna i zdyscyplinowana. Chociaż zdarzały się bardzo nieprzyjemne historie. Nasz kierowca transportowego „Stara" upił się podczas pracy. Dobrze, że nie miał zlecenia wyjazdu, bo byłoby o wiele gorzej. Nikt nie doniósł. Sam zauważyłem. Musiałem zwolnić. Przecież złamał dyscyplinę. Tłumaczył się liczną rodziną. Ośmioro dzieci. Nie kłamał. Postanowienia nie cofnąłem.

Biały budynek portierni. Przed rokiem stała w tym miejscu drewniana szopa bezrolnego chłopa. Teraz w zimne noce i wieczory grzeje się przy małym węglowym piecyku. Popija czarną jak smoła kawę i zagryza pajdą razowego chleba. Wychodzi na zewnątrz. W długim po kostki kożuchu obchodzi odznaczające się w poświacie księżyca gmachy. Hale, magazyny, biura. Przez przeszło dziesięć godzin jest tutaj panem sytuacji. Nocnym stróżem. Sprawdza elektryczną lampką, czy wiszą wszystkie kłódki na żelaznych bramach i drzwiach. Zakopconą naftówkę zbił jego wierny pies, gdy gonił po fabrycznym placu zabłąkanego kota. Każdy z nich — pies i portier — pilnuje państwowego mienia. Pies — czarnego telefonu z korbką i własnej miski. Stary portier — widzianych w świetle latarki murów. Nieraz zadzwoni w nocy telefon. Wtedy pies targa zębami drzemiącego pana, albo głośno ujada, gdy tamten obchodzi teren zakładu. Przed siódmą portierzy zmieniają się.

Przed bramę zakładu zajeżdża odrapany niebieski „Żuk". Na styczniowym mrozie przednie szyby pokryła biała warstewka lodowych kwiatów. Przez mały otwór czystej od lodu szyby widać czerwoną twarz kierowcy. Szuka zlecenia ze Starachowic. Zgrabiałymi palcami przerzuca służbowe dokumenty.

Wchodzi na portiernię. Sili się na uśmiech po trzech dobach „za kółkiem". Opowiada kawał o pociągu, zasłyszany od przygodnego znajomego z Oblęgorka. Jeszcze przepustka i koniec pracy. Dzwoni telefon. Czy przyjechała „Skoda" z transportem odlewów do pompy olejowej „Fiata"? Nie. Tylko podnośniki pneumatyczne ze Starachowic. Dobre i to.

Na Oddziale Mechanicznym szum i wibracja pracujących maszyn. W trzech rzędach stoją różnego typu obrabiarki, frezarki, tokarki i szlifierki. Tutaj powstaje korpus i część składowe do pomp „Warszawy" i „Fiata". Pod dużą lampą jarzeniową wśród sześciu obrabiarek stoi młody majster. Sam obsługuje te maszyny. Na jego stanowisku nawierca i gwintuje się otwory. Mieszka w miasteczku. Na wspólnej gospodarce z czterema braćmi. Po śmierci ojca ziemia została podzielona na kilka części. Równe części. Bracia nie zgodzili się z testamentem. Wynikły kłótnie, a nawet rozprawy sądowe, kto ma zabrać drabiniasty wóz, a kto miedzę przy drodze. On dał im swoje morgi i starą szopę z narzędziami. Kończył wtedy szkołę zawodową w pobliskim powiatowym mieście. Po skończeniu nauki zgłosił się do zakładu. Przyjęli. Teraz dostaje ponad dwa tysiące i premię. Składa na mieszkanie spółdzielcze w budującym się osiedlu pracowniczym.

Dyrektor często rozmawia z załogą. Nie na ogólnych zebraniach. Podczas przerwy obiadowej, w czasie pracy. Pyta o kłopoty i trudności. Pamięta prawie każdego robotnika. Lubią go i szanują. Nie chowają się za maszyny, gdy pojawi się w hali. Zdejmują uwalane smarem berety i z uśmiechem kłaniają się. Nie wszyscy. Pierwszy dyrektor był według niektórych lepszy. Można było pograć w brydża, spokojnie przespać się w pakowalni. A ten wstrzymał im za to comiesięczną premię. Nie uwierzył w defekt frezarki po niedawnym remoncie. Nie uwierzył też w brak materiału, który kazali odwieźć do magazynu.

W hallu piętrowego biurowca z białej cegły wisi tablica. Harmonogram zajęć dla kursu na tytuł mistrza i robotnika wykwalifikowanego. Fizyka, rysunek techniczny... Po pracy zamiast autobusem do domu, zostają w niedużej sali. Zdobywają zawód i podwyższają swoją wiedzę nie tylko zawodową. Znają Marksa i Trockiego. Kapitalizm i komunizm. Jest ich kilkudziesięciu. W roku 1970 zapisało się 90 osób. Ciężko przychodzi im ta nauka. Prawie 65 proc. to ludzie ze wsi. Dorabiają jeszcze na gospodarce. Na kilkunastu morgach żyta, ziemniaków i rzepaku. Uczą się w nocy po parogodzinnej orce lub przy tokarce podczas przerwy obiadowej. Nieraz ojciec z synem wkuwają wspólnie długie fizyczne wzory i rozwiązują zadanie geometryczne. Mają satysfakcję, gdy na klasówce wykładowca napisze „dobry" — czerwoną kredką.

Sekretariat. Jasny, nieduży pokój z eleganckimi meblami. Miękkie foteliki dla interesantów, ścienne lustra z wieszakami, pośrodku puszysty dywan. Pod oknem biurko sekretarki dyrektora. Właśnie odbiera z teleksu pilną depeszę z Warszawy. Nie jest wcale pięknością. Skromna, pracowita, miejscowa dziewczyna po liceum. W foteliku pod ścianą siedzi interesant. Od godziny czeka ze zmiętą w rękach czapką na koniec egzekutywy kierowników działów i przedstawicieli drużyn robotniczych. Przyjmą, czy nie przyjmą? Złamał przecież dyscyplinę pracy. Był pijany za kierownicą. Tak. To ten sam kierowca, którego przed trzema miesiącami zwolnił dyscyplinarnie sam dyrektor. Takiego kierowcę niechętnie zatrudniają. Ale on tylko raz. Wypił za nowego syna. I taki pech.

Gdy na ściennym zegarze wybiła godzina jedenasta, do pokoju wszedł dyrektor. Wiedział, że zastanie tutaj tego kierowcę.

— Jutro jedzie pan do Warszawy po nową obrabiarkę. Pani Krystyna (sekretarka) wypisze zlecenie na wyjazd. Tylko sprawdźcie akumulator w tym „Starze", bo mechanik wczoraj zachorował i nie miał kto tego zrobić.

— Panie dyrektorze — przypomina pani Krystyna — za dziesięć minut zebranie z właścicielami ziemi.

— Dziękuję. Co ja bym zrobił bez pani — dodaje z uśmiechem.

Za dwa lata, obok drewnianego mostku, wyrosną nowe hale produkcyjne. Rozpocznie się produkcja pneumatycznych układów hamulcowych do wszystkich typów samochodów osobowych i ciężarowych.

Opłaciły się trud i praca młodego dyrektora.

ANTONI KASPROWICZ

W oczekiwaniu na DOROTĘ

Leżał na łóżku i rozmyślał: „Oto już drugi dzień jak wstać nie może przez tę cholerną astmę, która męczyła go okrągły rok, aż wreszcie powaliła w bety. A co będzie dalej? Strach pomyśleć. Na nic biedrzeńce, dziewanny i tymianki. Jak trzymała tak trzyma przeklęta dychawica, że człowiek jak ta ryba wyszarpnięta z wody łapie i łapie powietrze, którego wciąż brak i brak w dziurawych płucach, nie mówiąc już o głodzie i chłodzie".

Leżał w zimnej izdebce wpatrzony w okienko, które powielone grudniowym mrozem jaśniało prześwietlone południowym słońcem. Dychawica męczyła go strasznie. Co chwilę ocierał pot z czoła, wzdychał, stękał, aż wreszcie po namyśle postanowił: Dorota! Tak, powiadomić Dorotę i to natychmiast, bo nie ma innej rady. Ona jedynie może mu jeszcze pomóc.

Przyjdzie, napali w piecu, zgotuje jaką taką strawę, obsłuży starego, a może i jakieś lekarstwo wytrzaśnie. Tak, tak, tylko Dorota, ona — jedynaczka. Więc trzeba ją wezwać. Ale jak? Chyba listem. Ba, a kto napisze? Może córka Chachuły, albo sąsiad Smela, bo siedział za kratkami i skończył tam jakąś edukację. Po krótkim namyśle, słysząc za drewnianą ścianką izdebki krzątaninę, z wielkim wysiłkiem uderzył w nią trzykrotnie pięścią i nadsłuchiwał.

Po chwili usłyszał skrzypienie drzwi i Smela stanął przed łóżkiem.

— Co z wami, Buzoń? — zapytał.

— Paskudnie, sąsiedzie. Żeby nie ta astma, toby jeszcze, jeszcze...

— Dobrze będzie, Buzoń... Z taką tchawicą można i do stówy...

— Nie chromolcie, Smela! Ja nie dzieciak! Podejdźcie no bliżej i słuchajcie. Trzeba zaraz powiadomić listem moją Dorotę, bo ze mną krucho. Niech przyjdzie. Ale ja nie gramotny, no i honor nie pozwala, bo zostawiła chorego ojca i poleciała za przydupasem...

Połykając z trudem powietrze cedził dalej:

— Śrajbujcie więc, niby to od siebie. Ot, tak po sąsiedzku: „Dorota, stary twój suchy jak deska od trumny. Ani mu kto jeść, ani mu kto pić, aż litość bierze patrzeć na toto i na szloch się zbiera. Więc nadleć choćby i na śmiertelne pożegnanie. Czeka cię ojciec i Smela. A na kopercie — dychając coraz uciążliwiej pouczał Buzoń — to piszcie tak: „Dorota Buzoń — Bałuty, na ulicy Rysiej — u dorożkarza, z którym się spąchnęła. Tyle tylko pamiętam, sąsiedzie, z tego co mi ta ladacznica mówiła".

— Dobrze, usiądę i zaraz list odbiguję i dziś jeszcze mój Leoś kinie go do zielonej puszki. Tylko z tym adresem — biadolił Smela, przymykając skrzypiące drzwi wyziębłej izdebki — niby to: Bałuty, Rysia i spąchnęła...

Wysoka smuga słońca pełzała już po lewej framudze okna, a dychawiczny Buzoń leżał pod kołdrą płaski i cichy, rozmyślając dalej: „Jak ten list wrzuci Leoś dzisiaj, to jutro na sto dwa otrzyma go Dorota i zaraz nadleci. Nie inaczej. Nie pozostaje więc nic innego, tylko spokojnie oczekiwać i nasłuchiwać..."

I tak ten pomyślunek z listem uradował go, że głód i pragnienie przestały mu jarzyć wnętrzności. Leżał więc zapatrzony w jaśniejące słoneczkiem okienko i rozpamiętywał:

„Pieskie to życie! Czego więc żałować? Tej wiecznej szarpaniny i harówki i niedostatku? A co on to dobrego użył na tym skromniutkim świecie zamykającym się w granicach brukowanej dzielnicy, w której radosnym wydarzeniem były tylko święta Wielkanocy i Bożenarodzeniowe. Pewnie zdarzały się też bitne chrzciny i krwawe weseliska, a i nocne pożary fabryk rzygających w trzasku walących się murów, czarnymi kłębami dymów i grzebieniami płomieni, w turkocie konnych beczek drewnianych, oświetlonych pochodniami — na sygnałach nieustających dzwonków i trąbek strażackich". Leżał na wyrku wchłaniając powietrze krótkimi oddechami i rozpamiętywał:

„I oto po czterdziestoletniej harówce, w weberskim kurzu, huku i oliwie, zdycha teraz w samotności bez żadnej opieki i pomocy i bez nadziei, że się podniesie z łóżka, w którym na pewno przyjdzie mu tojtnąć z wyczerpania, choroby i głodu.

Przypomniało mu się, jak to jednej Wielkanocy, wkrótce po strajku — oprócz przaśnego chleba i kwasu kapuścianego nie posiadali w domu nic a nic — i jak Dorota beczała po kątach, bo nie honorem było pokazywać ludziom, że aż taka bida.

Wtedy to tylko u jednego Sobcza ka, który trybował w rzeźni miejskiej, podchmielony ksiądz poświęcił święconkę. Ale za to chodnik przed domem i wszystkie korytarze domu wysypane były żółtym piaskiem, a o świcie grzmiała na ulicach cholerna kanonada z kalichlorkowych pęczków, aż szyby pryskały z pobliskich okien. Wtedy to właśnie Maniuś Rokiel nie mając pod ręką brukowca, obcasem ka masza rozsadził pęczek, aż ziemia jęknęła, a jemu stopa rozczapierzyła się na dwa schaby.

Kumple na plecach przytaszczyli go do chaty. Ale zanim telefon, ale zanim pogotowie — gangrena zaatakowała podudzie. A ponieważ stary Mańka nie zgodził się na obciach nogi jedynakowi, więc na trzeci dzień leżał już w trumnie.

A kiedy ten Maniek leżał sobie w trumnie i baby przy naftowym płomyku ciągnęły „Już idę do grobu" — to Kaziek Rubiś pociągnął czarną nitkę uwiązaną do rękawa marynarki Maniusia, który machnąwszy martwą ręką w trumnie, narobił takiego rabanu, że Lodka Stejskałówna zemdlała od razu".

Uśmiechnął się Buzoń na to wspomnienie, nasłuchując szumu ulicy, z której od czasu do czasu rozlegało się parskanie koni i dźwięk dzwoneczków zawieszonych u sań, którymi wieśniacy z pobliskich wiosek dowozili mieszkańcom dzielnicy tanie bochny chleba, sery, słomę do sienników i drób.

Obserwował jak słoneczna smuga topniała powoli na lewej framudze okna i wymiarkował, że nadeszło popołudnie, i że za parę godzin zabuczą syreny fabryczne i rozlegnie się kołyszący pomruk robotników powracających z drugiej zmiany do swych wystygłych izdebek.

A kiedy drgającymi kropelkami światło słoneczne stopiło się całkowicie za okienną szybą, tchający nieustannie brakiem powietrza Buzoń, zasnął niespodzianie, pod cienką kołderką w oczekiwaniu na wezwaną listem Dorotę.

II

Dwa razy w nocy budził się mokry od potu jak po dyngusie. Męczył się, kasłał, pochrząkiwał, aż umęczony zasnął ponownie, by ocknąć się w samo południe.

Zbudziło go skrzypienie drewnianych schodów. Rozeznał: To schodziła pękata Kardula, która gdy smażyła placki kartoflane na aptecznym tranie, to otwierała drzwi szeroko, by zapach drażnił zazdrosne sąsiadki. Ale co tam Kardula! Niezadługo nadleci Dorota, więc trzeba oczekiwać i nasłuchiwać aż schody zatrzeszczą radośnie.

Leżał więc i zipał w oczekiwaniu, tłumiąc dłonią przyśpieszone tętno serca i dziwił się zarazem, że nie odczuwa ani głodu, ani pragnienia.

Drgnął, bo znów skrzypnęły drzwi i zatrzeszczały schody.

„To Chachuła, bo u niego nie nasmarowane zawiasy skrzypią krótko i skrzekliwie. Tak, to Chachuła, u którego pięcioro rebiaty kima na jednym łóżku, ten, który poza zeszłej jesieni palił w piecu łęcinami, bo na węgiel nie starczyło. Tak, to Chachuła. Ale co tam Chachuła! Przecież zaraz nadleci zdyszana Dorota, więc trzeba czekać i nasłuchiwać".

Tymczasem zmęczone słoneczko przechyliło się nisko ku zachodowi i lewa framuga okna zaróżowiła się anemicznie, a po chwili blednąc coraz bardziej zabarwiła się tak jak i wczoraj w niebieskie pasemko, aż wreszcie czarnym obrzeżem objęła zamrożone szyby. Zbliżał się wieczór.

„Już mrok zapada, a Doroty — ani słychu, ani dychu" — pomyślał nasłuchując chciwie najlichszego szmeru i najcichszego skrzypnięcia schodów.

Teraz byle odgłos w korytarzu przyśpieszał mu bicie serca i ognie wypalał na twarzy. Więc tłamsił dłonią kołdrę, unosił co chwila głowę znad słomianej poduszki i modlił się i wzdychał i dyszał ciężko i nasłuchiwał i nasłuchiwał...

Nagle rozgłośne skrzypienie schodów ocknęło go z zadumy i odrętwienia, więc trzepnął radośnie po kołdrze rękami i prawie wykrzyknął:

— Nareszcie! W imię Ojca i Ducha Świętego. A kiedy ciężkie stąpanie i dziwne kluczenie po korytarzu ustało — skrzypnęły żałośnie drzwi Buzoniowej izdebki i od proga rozległ się głos: — Tu mieszka Kardula? No, mieszka czy nie mieszka? — powtórzył bas.

Ale Buzoń nic nie odpowiedział, tylko otarł dłonią łzę z oka i pogrążył się w jakąś czarną i bezdenną otchłań.

Ocknęły go z odrętwienia głośne śmiechy i rozmowy na skrzypiących schodach. Ale Buzoń wymiarkował zaraz, że to Oleś Smeli prowadzi ojcu gości, których zapewne oczekiwał przed bramą domu — jak w każdą niedzielę.

Dwukrotnie jeszcze unosił ciężką głowę znad słomianej poduszki — spodziewając się nadejścia Doroty. Najpierw Kozubowa trzasnęła drzwiami, a za nią po schodach, klnąc siarczyście, pokulał Florek Cianciara — ten od szklanej huty.

Schodzą i wchodzą, schodzą i wchodzą, a o Dorocie ani słychu ani dychu. Tak, ani słychu ani dychu — żalił się Buzoń i nagle włosy zjeżyły mu się na głowie. — A może Smela karty nie napisał? A może Leoś nie do tej skrzynki pocztowej, w którą należało... Jezusie! Ale to niemożliwe. bo Smela to sąsiad sprawiedliwy. Tak, porządny i sprawiedliwy. To nic innego, tylko ten dorożkarz — rozważał Buzoń usprawiedliwiająco — zakołował Dorocie w głowie i zaprzągł do roboty i gania teraz od rana do wieczora: A to szkapie siano, lub otręby, a to dorożkę wypucować z błota na glanc, a to śniadanie, a to obiad i kolacja i tak to moje biedne dziecko haruje i męczy się u tego przydupasa. I dlatego nie może wyrwać się wcześniej z domowej uprzęży do ledwie zipiącego już ojca.

Dobrze jeszcze, że ten przydupas nie znęca się nad nią i głodem nie morzy. No, niech by tylko spróbował ukrzywdzić jego jedynaczkę! No, niech by tylko... Dość przecież nacierpiała się głodu i chłodu w tej zimnej izdebce i dość napłakała po śmierci matki na ten cholerny los weberskiej rodziny — hulając na bosaka po sklepikach, by zborgować okrom chleba lub okrawek słoniny.

Ej, ty moja córko! — westchnął ciężko rozżalony Buzoń i rozbeczał się na łóżku jak pokrzywdzone dziecko.

A kiedy się wyżalił, wyszlochał, napojękiwał i nawdychał zimnego powietrza — postanowił:

— Muszę jednak wezwać tego Leosia, bo zdaje mi się, że ten list nie w zieloną skrzynkę pocztową... albo może całkiem... Uniósł więc pięść, by zastukać w drewnianą ściankę do sąsiada, ale w tej samej chwili rozległ się u Smeli tubalny śpiew zaproszonych kumpli i piekielny wrzask tuby gramofonowej.

„Sto lat, sto lat
Niech żyje, żyje nam!"

Rżał, rzęził, zgrzytał i ryczał nakręcony gramofon, a wraz z nim rżało podchmielone bractwo z piskliwym głosem podochoconej Smeliny i uraczonego Leosia. Rżał i ryczał gramofon wyrzucając z olbrzymiej tuby melodię za melodią, a obok, w ciemnej i zimnej izdebce, pod cienką kołderką, leżał zapłakany, suchy jak wiórek i płaski jak ryba — on — który tyle wycierpiał w swym życiu, biedny, umierający, samotny, głodny i opuszczony przez ludzi — wciąż jeszcze oczekujący jedynaczki — on — Buzoń.

Z tomu pt. „Dzielnica Plebejuszów", który ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

TADEUSZ ŚLIWIAK

Andrzej Grun — „Dziewczyna i ptak"

Oparci o pień drzewa

nieba statek ogromny przepływa nad nami
przechyla się lekko na bok — ukazuje
maszt nadłamany w miejscu gwiazdy
wiezie bawełnę obłoków i świtu różany olejek
przesuwa się nad nami bezgłośnie
a tu na dole konary i widli się las
trwa cisza i gałąź ani się poruszy
zagęścił się zmierzch
w trawie kamień wapienny przybrał maskę czasu

oparci o pień drzewa zwołujemy w sobie
zwierzęta o oczach zielonych i złych
ich głody rymują się z białymi kłami
zwierzęta są zaszyte w futra z ognia i szronu
już i w nas samych coraz więcej lasu
jesteśmy w samym środku — daleko za nami
o ostrze szosy o stukot kolejowych mostów
strzępi się cisza która nas osłania
ręce jakby zapomniały czym jest szkło
i klucza wymyślność i struny instrumentów
teraz nasze ciała zaczynają się od paznokci
palce tracą wytworność krzywe są i zachłanne
i nie ma w nas siły przeciw sobie

nieba statek ogromny przepływa nad nami
Noe nim dowodzi — głaszcze nozdrza zwierząt
zieloną od róży piękniejszą gałązką pokrzywy

Ślad

Ślad twojej stopy
odciśnięty w piasku
trwalszy jest
od wszystkich zapewnień

ślad twojej stopy mówi prawdę
mówi że byłaś

Dedykacja dla Marii

Obiecuję ci ułożony na dnie morza statek
porosły muszlami i mchem koralowców
obiecuję ci światła ruchome
i ciszę kotwicznego łańcucha

Pośród skorupiaków
leży flaszeczka lakieru do paznokci koloru wrzosowego

pęk kluczy spięty kółkiem
z nudów udaje generała krabów

ile jeszcze mamy czasu — pokaż mi na palcach
zza grubej żelaznej płyty słyszę skrzypce w ciemnym pokoju

Obiecuję ci skrzynię okutą
ale nie otwieraj jej
dochodzenie tajemnic
to wszystko co może poezja

JAN KOPROWSKI

Pamięci Wlastimila Hofmana

W piątek, 6. III. br. zmarł w Szklarskiej Porębie, w wieku lat 89, Wlastimil Hofman, zasłużony dla kultury polskiej artysta, uczeń Jacka Malczewskiego i Leona Wyczółkowskiego, ostatni przedstawiciel malarstwa, wywodzącego się z bogatej tradycji dziewiętnastowiecznej sztuki polskiej. Urodzony 27 kwietnia 1881 roku w Pradze, na przedmieściu Karlin, z ojca Ferdynanda, Czecha i matki Polki, Teofili z domu Muzyka, Polskę wybrał jako swoją ojczyznę. Studiował w Krakowie, (gdzie ojciec jego miał sklep z kamieniami półszlachetnymi), a następnie w Paryżu, w l'Ecole des Beaux Arts pod kierunkiem mistrza Leona Gerome'a. Obrazy swoje wystawiał w Krakowie i Pradze, Wiedniu i Paryżu, Monachium i Berlinie, był członkiem „Wiener Sezession" i krakowskiego stowarzyszenia „Sztuka".

W tragicznym dla Czechosłowacji roku 1938 dom Hofmanów w Krakowie staje się azylem dla patriotów czeskich, którzy opuścili kraj tuż przed agresją hitlerowską. W rok później Hofmanowie musieli pożegnać Polskę. Przebywali najpierw w ZSRR wraz z generałem Svobodą, a na wiosnę 1940 roku wyjechali przez Turcję na Bliski Wschód. W czasie pobytu w Palestynie Hofman rysuje i maluje Arabów, Żydów, sceny rodzajowe z życia polskich żołnierzy, zabytki architektury, świątynie, egzotyczne pejzaże. Maluje na puszkach od konserw, kartonach papierosowych, na czym się da. Tam też wydaje zbiór patriotycznych wierszy „Poprzez ciernie do wolności", jest członkiem Komisji Rewizyjnej Komitetu Pomocy Warszawie, stoi na stanowisku powrotu Polaków do kraju, czym naraża się emigracji, propagującej hasło „trwania z bronią u nogi". Po powrocie do Krakowa Hofman organizuje wystawę prac malarskich i rysunków wykonanych na tułaczce. Po druzgocącej krytyce wystawy na łamach „Tygodnika Powszechnego", pióra Heleny Blumówny, artysta postanawia opuścić Kraków i za namową Jana Sztaudyngera, wówczas szklarskoporębianina, przeprowadza się na schyłku 1946 roku do Szklarskiej Poręby.

Poznałem go tutaj w dwa lata później, gdym po powrocie z Berlina osiedlił się w sąsiednich Piechowicach. Przez trzy lata ja i moi najbliżsi bywaliśmy stałymi gośćmi w pięknym domku Ady i Wlastimila Hofmanów. Zachowało mi się z tamtego czasu sporo notatek. Prowadziłem coś w rodzaju dziennika, w którym opisywałem swoje wizyty we „wlastimilówce", cytując skrupulatnie wyznania artysty. Hofman, obdarzony znakomitą pamięcią i żywym, ekspresyjnym sposobem mówienia, był wtedy nadzwyczaj interesującym rozmówcą. Oto, jak na przykład, wspominał swoją decyzję opuszczenia Krakowa: „Kocham Kraków, ale nienawidzę krakowian. Poszukam sobie innego miejsca w moim kraju. Bo Polska jest moją ojczyzną i nigdzie poza nią nie mógłbym mieszkać na stałe".

W pokoju, w którym zazwyczaj gawędziliśmy, wisiał wielki obraz, przedstawiający Sokratesa przed wypiciem cykuty. „Czy pan wie, kto mi do tego obrazu pozował?" — pytał Hofman i nie czekając odpowiadał: „Sławny ongi a dziś całkowicie zapomniany filozof, Wincenty Lutosławski. Był to umysł niepospolity, człowiek oryginalny, ale nie wszystkie jego idee i koncepcje zasługiwały na aprobatę. Czytałem kiedyś jego książkę, w której dowodził, że genezy pierwszej wojny światowej należy szukać w czasach starożytnych. Panie, czy to nie przesada?"

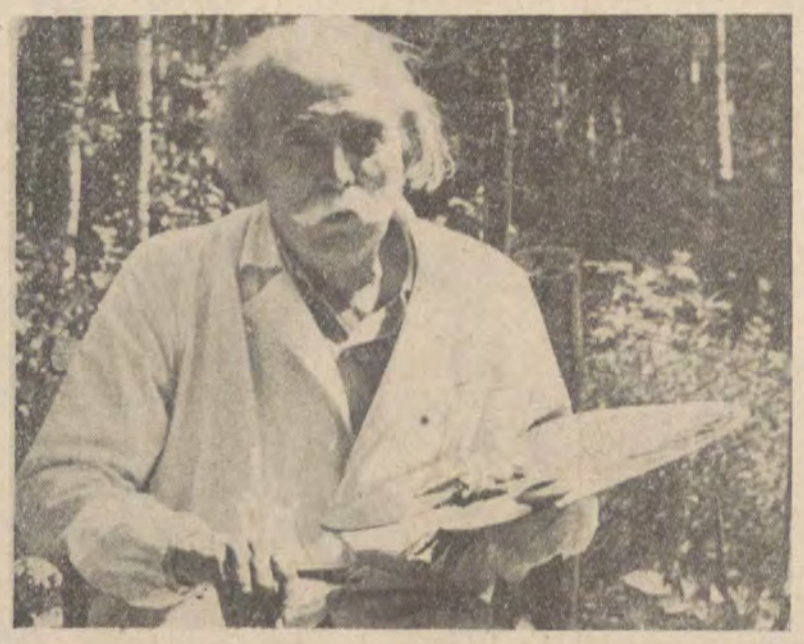

Bardzo lubiłem przyglądać się temu płótnu. Potem, gdy „Sokrates" został wzięty na jakąś wystawę (czy może przekazany do muzeum, nie pamiętam), na jego miejsce Hofman powiesił „Porwanie Ganimeda" — rzecz równie piękną i podobnych rozmiarów. Obydwa te obrazy nie miały owej symboliczności, tak często spotykanej na płótnach Hofmana, która kazała krytykom nazywać artystę naśladowcą Jacka Malczewskiego. Chociaż Hofman zachował do końca życia kult dla swego mistrza i nauczyciela, którego paletę przechowywał jak relikwię w swej pracowni — nazywanie go naśladowcą Malczewskiego było po prostu krzywdzące. Hofman miał własny styl i własne widzenie świata, zbieżne, oczywiście, z widzeniem Malczewskiego, ale przecież swoiście odrębne i bynajmniej nie naśladowcze.

Wszystkie pokoje domu Hofmanów obwieszone były obrazami artysty. Były tam rzeczy z czasów dawnych i całkiem nowe, malowane w Szklarskiej Porębie. Szczególnie sugestywne wydawały mi się wówczas i wydają dziś jego autoportrety. Jeden z takich autoportretów Hofman podarował nam kiedyś na pamiątkę. Patrzę teraz na ten obraz, w którym malarz przedstawił siebie w płaskiej czapce z daszkiem, w żółtej, rozpiętej koszuli. Piękne białe wąsy i wyraziste oczy czynią z tego obrazu rzecz, która nie może się opatrzyć. Spogląda na nas z obrazu człowiek myślący, o ciekawym wyrazie twarzy, wrażliwy artysta i poeta. Hofman od młodości pisywał wiersze, czasami je drukował, a na emigracji część z nich ogłosił w wydaniu książkowym. Nie chodziło mu w tych wierszach o poszukiwanie nowych form wyrazu. W wypróbowanych formach wersyfikacyjnych wypowiadał myśli i przeżycia, których nie chciał czy nie mógł wyrazić na płótnie. Poezjowanie było jakby dopełnieniem jego malarstwa. Ze wszystkich poetów polskich Hofman najwyżej cenił Słowackiego. Namalował nie tylko portret poety, ale i kilka płócien, będących jak gdyby ilustracją „Króla-Ducha".

Szczególnie wdrożyły się w moją pamięć wizyty u Hofmana w okresie zimy. Duży śnieg, las świerkowy cichy i nieruchomy, za oknem „wlastimilówki" karmnik dla ptaków, do którego bez przerwy zlatują się sikorki i jemiołuszki. Pani Ada Hofmanowa przyrządza znakomitą herbatę, siedzimy przy stole, rozmawiamy i patrzymy za okno na wielki las, wielki śnieg i małe kolorowe sikorki, dziobiące z deseczki okruszyny chleba. Było w tym coś z baśni, bo baśnią jest każda przeszłość, która coraz bardziej się od nas oddala. Ada Hofmanowa zmarła przed dwoma laty, Wlastimil Hofman w czasie srogiej, tegorocznej zimy. „Wlastimilówka" opustoszała. Powinno powstać w niej muzeum pamięci po malarzu, który był uosobieniem dobroci, rzecznikiem przyjaźni Polaków i Czechów, zawołanym artystą, poświęcającym wszystek swój czas Sztuce. Dość powiedzieć, że pozostawił po sobie siedem tysięcy obrazów olejnych i sto tysięcy szkiców i rysunków.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

Jak odejść żeby odejść pięknie

Ogólne wrażenie: jest to poezja *) z wyboru skromna, ale nie tą skromnością chytreńką — patrzcie na mnie, jestem skromna, nie rzucam się w oczy, lecz przecież wiem, nie ma nade mnie piękniejszej. Jerzy Wilmański nie przecenia swoich zasług zachowując poetycką godność. Buduje swój świat żmudnie, nie na zasadzie poetyckich wariackich papierów, a rzetelnego ludzkiego doświadczenia. W czasie gdy poetyckie dziwolągi, falsyfikaty, pseudointelektualna czkawka zniechęcają czytelników do poezji, a w oczach niektórych krytyków urastają do wydarzeń literackich, prostota realizacji poetyckich Wilmańskiego godna jest zauważenia.

O czym ten szczupły tomik mowi? Mówi o przemijaniu, o śmierci. Temat tak stary jak ludzkość. Poeta go nie demonizuje. Upływ czasu jest dla niego czymś tak naturalnym, jak następujące po sobie pory roku:

W samym środku wysokiej
cichociemnej nocy
kwiecień zielonopióry
nagle nas zaskoczy
otworzymy drzwi mieszkań
żeby wszedł do środka
(może już innych kwietni
nie dane nam spotkać)
potem w dłoniach skryjemy
nasze małe zbrodnie
gwiazda o bruk zadzwoni
przystaną przechodnie
a my westchniemy z łezką
patrzcie kwiecień kona
i palcem zastukamy
w wiosny konfensjonał.

Bunt wobec ostatecznego dokonania jest dla poety daremny, gdyż jak wyznaje w innym wierszu:

Konwencje są z góry
ustalone
Mamy swoje rozkłady
jazdy
i stacje gdzie kończy się
bieg.

Czy to jest pesymizm? Może. Poezja ta zatrzymuje się zawsze na granicy pytań, które człowiek ma prawo naturze zadawać. Nie ingeruje w jej odwieczne prawo. Rozmowy Wilmańskiego z człowieczym losem nie są udrapowane w śmiertelną powagę. Jest w tej poezji dojrzały smutek grudniów i sierpniów, spokojny, elegijny tok gdzieniegdzie rozdarty dramatycznym pytaniem.

Smierć człowieka i smierć kultury. W pierwszym przypadku czas, los, rozstrzygają za naszymi plecami. W drugim nie ma śmierci.

... „śmierć wątpliwa
popalonych książek".

Jakże rozumna i piękna wiara przeciwko barbarzyństwu. Oto jedno z najpiękniejszych zaprzeczeń „Odlotu".

Dobra poezja jawi się nam w „Porach roku", „Wrześniu", „Wołaniu", „Żniwach", „Notatce z Domaniewic", „Szarym ubraniu", „Pochwale władz miejskich", w „Wyjaśnieniu w wiadomej sprawie". Jednak największe wrażenie zrobił na mnie wiersz zatytułowany „Planowanie odejścia", który tylko pozornie jest zaprzeczeniem tego, o czym mówiłem wyżej. Taki wybór nie jest aktem rozpaczy, jest przyznaniem racji biologii, piękne jest to co rozkwita, co się kończy nim umrze:

Jak odejść żeby odejść
pięknie
żeby wiatr świstał w
uszach
żeby wiosna była
albo lato
i żeby zgrzyt hamulców
przerazone drzewa
i deszcz
bo odejść trzeba w biegu
aby odejść pięknie
z rozmachem trzasnąć
w metal
albo czarny asfalt
odejść trzeba skokiem
susem ostatecznym
odejść trzeba
pięknie
w biegu
w deszczu
w wiatr.

Jest w tym romantycznym, a przecież trzeźwym zamyśle o śmierci, chłopięca odwaga, strach przed śmiercią w pantoflach, w łóżku. Po lekturze tego wiersza naszła mnie myśl: tak umarł Zbyszek Cybulski, jedna z pięknych postaci w historii naszej sztuki. Wiem, nie o nim to jest wiersz. Może o nas, którzy jeszcze żyjemy, a przecież staniemy przed nią, śmiercią, oko w oko, kiedyś.

*) Jerzy Wilmański: „Odlot", Łódź, „Wydawnictwo Łódzkie", 1970, str. 59.

Przeszłość i teraźniejszość

Książka o ruchu oporu chłopskiego

Konia z rzędem temu, kto potrafi dokładnie określić, na czym polega istota tzw. popularnonaukowej książki historycznej. Jedni twierdzą, że jest nią taka praca, która została napisana jasno i zrozumiale, nie jest obarczona nadmiarem przypisków i odsyłaczy, słowem — może ją przeczytać każdy zainteresowany, nie tylko specjalista. Z mniemaniem tym bardzo łatwo się jednak rozprawić, bowiem można powołać dziesiątki, jeśli nie setki tytułów wybitnych naukowych dzieł historycznych odznaczających się tymi właśnie walorami, które odnoszą świetne sukcesy czytelnicze mimo, że są one na pewno dziełami par excellence naukowymi. Dzieje się tak nie tylko u nas: więcej podobnych przykładów dostarczyłoby nam dziejopisarstwo francuskie i angielskie, gdzie tradycja pisania książek naukowych tak, aby były one dostępne dla szerokiego ogółu czytelników jest świadomie kultywowana i rozwijana. A więc nie w klarowności wywodów, w pięknej formie literackiej należałoby poszukiwać czynnika wyróżniającego pisarstwo historyczne naukowe od popularnonaukowego. Może więc różnica gatunków polega tu nie tyle na formie — skoro i dzieła naukowe mogą być pisane pięknie i jasno — ile na treści?

Unikajmy jednak nieporozumień. Znaleźli się już tacy, którzy dzielili z góry tematykę dzieł historycznych na... naukową i... popularnonaukową, w błogim mniemaniu, że istnieją problemy możliwe jedynie do traktowania naukowego, oraz takie, które mogą być jedynie przedmiotem popularyzacji. Niedawno na pewnej naukowej konferencji spotkałem się z innym poglądem: w pracach naukowych winniśmy pisać to, co „było naprawdę", w popularnych zaś dozwolone jest koloryzowanie przeszłości dla wymogów chwili dzisiejszej. Taka praktyka dwóch prawd jednak nie zaprowadzi nas daleko. Są wreszcie i tacy, którzy uważają, że praca naukowa to ta, która jest napisana w całości na podstawie źródeł, popularnonaukowa zaś wykorzystuje je tylko okazjonalnie. Wiemy jednak na zbyt dobrze że nie sposób napisać naukowej książki o jakimś większym problemie dziejowym jedynie w oparciu o źródła, nie tylko dlatego, że niemal nie sposób je wyzyskać w całości, lecz również i dlatego, że jakże często były one uprzednio wykorzystywane przez naszych poprzedników.

Swoją drogą obsesja „źródłowości" przybiera czasem zabawne formy. Praca źródłowa, ów przedmiot dumy autora, im więcej zawiera cytatów i powołań, tym bardziej jest „naukowa"; jeśli zaś są to źródła rękopiśmienne procent naukowości rośnie w dwójnasób.

Sądzę, jednak że tym, co wyróżnia pracę naukową od naukowopopularnej jest przede wszystkim inny stosunek do skumulowanej, zastanej wiedzy naukowej w danym, interesującym autora przedmiocie. Nie zawsze olbrzymie nawet źródłowe cytaty przyczyniają się do pomnożenia dotychczasowej historycznej wiedzy, a to właśnie stanowi cel wszelkiej pracy naukowej. Od publikacji naukowopopularnej wymagamy jedynie zreferowania zastanego, skumulowanego stanu historycznej wiedzy o opisywanym przedmiocie, niczego więcej.

Taki właśnie cel przyświecał Czesławowi Rajcy, który opublikował ciekawą książkę „Ruch oporu chłopskiego w Królestwie Polskim w latach 1815—1864" (LSW 1969). Lektura sporego tomu przypomniała mi szereg znanych już kiedyś faktów i problemów, nasunęła materiał do dalszej refleksji, zrodziła parę pytań na które nie mam dziś jeszcze odpowiedzi... Tu i ówdzie dorzucił autor nowy fakcik na potwierdzenie znanej już w nauce tezy. Nie chciałbym w niczym dyskredytować jego pracy: jest ona na pewno zrobiona uczciwie, porządnie, na pewno też będzie doskonałym przewodnikiem po zagadnieniu którego dotyczy. Jeżeli mnie coś niepokoi to okoliczność, że autor pozostaje całkowicie w kręgu postawionych już problemów, że jego książka jest tak skutecznie tradycjonalna. Występuje to szczególnie jaskrawo w traktowaniu przezeń różnych wystąpień chłopskich: podzielono je na kategorie, każdą z nich omówiono dokładnie i... co z tego? Zginęły gdzieś związki dialektyka dziejowego procesu, którą zastąpiło precyzyjne szeregowanie... Czego? Nie zjawisk dziejowych, ale ich różnych stron, form. A problem jest kapitalny, wielostronnie skomplikowany: walka klasowa chłopów. Stąd i tradycjonalizm w ujęciu stosunku chłopów do powstań narodowych i brak najmniejszej próby przezwyciężenia zaklętego schematu dotychczasowej literatury, uchylenie się od możliwości dialektycznego, wszechstronnego ujęcia antynomicznego kompleksu zagadnień świadomości klasowej i narodowej chłopów. A przecież w tej sprawie powiedziano ostatnio wiele nowego w książce o podobnym tytule, choć odnoszącej się do okresu późniejszego. Myślę o dziele Heleny Brodowskiej. Nie mam pretensji do autora, jedynie żal, że nie postawił sobie ambitniejszego celu.

JÓZEF GRZELAK

WOJCIECH NATANSON

Opowieści profesora Tutki

W niewielkim pokoiku kawalerskim na drugim piętrze krakowskiego Domu Literatów, przy ul. Krupniczej, pisał Jerzy Szaniawski w 1945 roku humoreski, felietony, krótkie opowiadania, zamieszczane w „Przekroju", a potem także w „Odrodzeniu". Nazywano je „Opowiadaniami prof. Tutki". Był to powrót do form, od których autor „Murzyna" zaczynał kilkadziesiąt lat wcześniej, form krótkich i znaczonych pointą. Humoresek, zamieszczanych w „Kurierze Warszawskim", czy „Sowizdrzale".

Ale tym razem sceneria została ściśle określona: kawiarnia, stolik, kilku panów, opowiadających interesujące historie. Głównymi uczestnikami tych rozmów są: Sędzia, Mecenas, Doktor, czasem Notariusz i Dyrektor teatru. Rzadziej — przygodny przybysz. Wszyscy ci uczestnicy dyskusji są inteligentni. Ich uwagi bywają podniecające, pobudzające. Na ogół przytaczają przykłady zaczerpnięte z doświadczeń własnego zawodu.

Zdarza się, że panowie ci reprezentują pewną ogólniejszą postawę, czy opinię. Ale, jak w partii bridża — nawet inteligentne uwagi zostają przelicytowane przez górującego nad resztą swoich towarzyszy, znakomitego facecjonistę, prof. Tutkę. Na ogół słucha on z uwagą i sympatią; czasem pozwala sobie na leciutką drwinę.

Niektórzy recenzenci książkowego wydania „Opowiadań" zadawali sobie pytanie, jaka jest właściwie specjalność naukowa Tutki, jaki przedmiot wykłada. Nie wydaje mi się, by ustalenie tych szczegółów było naprawdę potrzebne. Myślę, że tytuł profesorski Tutki nie stanowi najważniejszej jego cechy; to po prostu żart, chwyt nieco dickensowski. Ważniejszy mi się wydaje zewnętrzny wygląd profesora. Wiemy, że nosi melonik, do którego jest przywiązany, i w którego nie zniszczalność wierzy. Przelot nie wspomina Tutka, że nosi brodę. Nie wierzę, by postać Tutki była karykaturalna. Można raczej przypuszczać, że ma on sporo wdzięku, uśmiech subtelny, a kiedy mówi o przygodzie w karecie, należy wierzyć, iż mogła się doń przytulić młodziutka i ładna „główna księgowa".

Jan Błoński zauważył, że „urok skrupulatnych igraszek Szaniawskiego to obserwowanie wahań w ich zrozumieniu: oscylacji między fabułą a morałem, morałem a słuchaczami, słowami profesora a wiedzą o nim czytelnika. Tutka, jego znajomi, czytelnik: trzy postacie w poszukiwaniu jednoznacznego sensu wcale nie zawiłej opowieści". Otóż ten urok umysłowy, który wszyscy dostrzegają, kojarzy się z wdziękiem samego narratora, jego uśmiechem, subtelnością, dowcipem, inteligencją, skromnością, bogactwem wyobraźni. Jeśli prof. Tutka nosi brodę, wygląda ona zapewne tak, że przywodzi na pamięć wypielęgnowaną twarz pamiętnego kiedyś w Krakowie dyr. Teofila Trzcińskiego. A nie uczonego z „Fliegende Blaetter"!

Tutka niemal każdą, na pozór prostą, sprawę potrafi rozłożyć na cząstki, wykazać jej mechanizm rozkosznie skomplikowany. Nieodparcie się tutaj przypomina uwaga Paul Valery'ego: myślenie jest komplikowaniem spraw prostych, a upraszczaniem skomplikowanych.

Tę skłonność do błyskotliwego, a pobudzającego paradoksu w rozumowaniach Tutki ładnie określił recenzent tygodnika „Dziś i Jutro", Jerzy Kołłątaj. Zauważył on: „nawet gdyby Tutka gotował zegarek, patrząc na jajko, nie czyniłby tego przez roztargnienie. Należałoby się zastanowić, czy jajko stanowi instrument całkowicie nieprzydatny do mierzenia czasu, czy tylko istnieje wśród nas takie, ugruntowane przez wieki, mylne przekonanie. Profesor Tutka bowiem zwykł większe problemy odkrywać w rzeczach błahych; meloniku, popielniczce, ptysiu, zeszłorocznym śniegu".

Anatol France w jednym ze swych felietonów przytacza przykład człowieka, który pewnego dnia zauważył jakąś awanturę, rozgrywającą się pod jego oknami. Myślał, że wszystko dokładnie zanotował. Nazajutrz okazało się, że było zupełnie inaczej; wiele szczegółów wymknęło się, czujnej przecież, uwadze obserwatora. O trudności zgłębienia prawdy, o jej coraz nowych perspektywach, o wielkości i radości krytycznego myślenia, mówi cała twórczość Szaniawskiego. W „Opowiadaniach prof. Tutki" mamy niejako ekstrakt, „esencję" takich rozważań. Można to, jeśli się chce, nazwać sceptycyzmem. Ale wolałbym mówić o artystycznej analizie krytycznej, posługującej się swoistymi, oryginalnymi środkami.

Naszkicowałem tu pewne analogie z pisarzami francuskimi. Wspomniałem Valery'ego, Anatola France'a. W recenzji zamieszczonej w „Twórczości" mówiłem i o tradycji francuskiej przypowieści filozoficznej. Lecz owe analogie nie powinny być rozumiane dosłownie. Raczej chodziło o przeciwstawienie się utartym i niesłusznym poglądom na temat rzekomej „nastrojowości" czy „mgławicowości" utworów Szaniawskiego". Jeśli gdzie szukać rodowodu (czy raczej równoległości), to w pełnej precyzji literaturze francuskiej. Ale wcale przy tym nie zapominajmy o fakcie, że w żadnym z opowiadań Tutki nie opuszczamy terenu humoreski. Dowcip, drwina, ironia, zabawne zestawienie faktów, służą artystycznej analizie.

W humoresce „Profesor Tutka na małej stacyjce kolejowej", opowiadaczowi śnią się trzy typowe postacie, które stworzył redaktor humorystycznego tygodnika. Towarzyszą one swemu twórcy w jego ostatniej wędrówce. To można by zrozumieć jako aluzję do wielkich humorystów angielskich, np. Dickensa. Ale i ta analogia wydaje się niezupełnie odpowiednia. Bo z pełną racją dopomina się Tutka, w opowieści o sobowtórze — o prawo do własnej swej drogi. W szkicu o Perzyńskim protestował Szaniawski przeciw zestawianiu autora „Szczęścia Frania" z Maupassantem. W każdym razie — to prawda, co mówi Tutka w zakończeniu opowiadania o swym sobowtórze: „Panowie! Na świecie jest tylko jeden profesor Tutka".

Ciekawe, że profesor Tutka nieraz dowcipkuje na temat własnych swych skłonności do dowcipu. Na przykład w opowieści o rodzinie utalentowanych, chłopiec ponury i niedowcipny w rozmowie z Tutką rzuca pomysły zabawnieco niesamowitych. Po powrocie jego bliskich profesor wypowiada zdanie, że chłopiec „uświetni jeszcze nazwisko rodziny dowcipnych".

— Na jakich podstawach opiera pan swoje przypuszczenia? — zapytuje ojciec.

— Inteligentny. Ma wyraźną tendencję do przekraczania granic szablonu i konwenansu. Posiada śmiałą wyobraźnię (...) Poza tym zauważyłem w nim jeszcze jakby leciutki, ledwo dostrzegalny cień złośliwości. To (...) cechy ludzi dowcipnych".

A więc autodefinicja dowcipu, jaką tu daje Tutka, jest zarazem drwiną ze swego własnego dowcipu. Jak w przedwojennym opowiadaniu o uśmiechniętych siostrach, ze zbioru „Łgarze pod Złotą Kotwicą".

Błoński zauważył, że opowiadanka Tutki tak są ułożone, „aby wszędzie móc wyłowić dwuznaczność". Dwuznaczność terminu („Opowiadanie barwne"), dwuznaczność uczuć („Profesor Tutka o przywiązaniu do przeszłości"), dwuznaczność sytuacji („Profesor Tutka poszedł na bal"), dwuznaczność oceny moralnej („O miłym staruszku"). Ja bym tu dostrzegł walkę z łudzącymi pozorami. Walkę prowadzoną na wesoło, niemniej bezpardonowo. Wystarczy rzucić w jakimś środowisku słówko na pozór obojętne (np. „to jest kobieta interesująca"), a następnie powtarzać ów sąd z uporem, a zacznie on owocować i działać. Z naciskiem pozorów i schematów łączą się nieraz wyobrażenia krzywdzące, przynoszące cierpienie.

Jak zabawnie się „robi karierę" na wypowiadaniu choćby jednego, z namaszczeniem powtarzanego, banału — dowodzi złośliwa humoreska „Profesor Tutka znał człowieka głębokiego". Nietrudno tu się doszukać aluzji do pewnych szablonów krytyki artystycznej. Bohater tej humoreski powtarza na widok każdego dzieła: „Brakuje mu głębi". Aż i sama natura odpłaciła mu równą monetą. Bo gdy umarł, „zjawił się jakiś urzędnik cmentarny i zmierzył głębokość grobu długim kijem z podziałką. Nie było odpowiedniej głębi, kazał kopać dalej. Spojrzeliśmy, goście żałobni, na siebie porozumiewawczo. A nawet uśmiechnęliśmy się... Nie trzeba dodawać, że wszyscy byli to ludzie dobrze wychowani — więc uśmiech nasz był dyskretny i smutny".

W 1962 roku pojawiły się w Wydawnictwie Literackim „Nowe opowieści prof. Tutki". Interesująco zaobserwował Henryk Bereza: „Szczęśliwie okazało się, że podróż profesora Tutki była podróżą w świat współczesny. Profesor Tutka postanowił zorientować się, jak wygląda ten świat, który obok niego się ukształtował. I trzeba powiedzieć, że staromodny profesor Tutka nie zatracił się w tym nowym dla siebie świecie (...). Wbrew odwiecznej tradycji nie przeraziła go niemoralność młodzieży, nie olśniły go nowoczesne wynalazki". Można by dodać, że Tutka odkrywa nieoczekiwane rezultaty reportaży telewizyjnych, podniet sportowych, nowoczesnych diagnoz lekarskich, domiarów podatkowych, przejażdżek automobilowych, zagranicznych odwiedzin muzycznych, sztuki dzieci... Czasem przeważa tu chęć zabawy, ale najczęściej inteligentny żart odsłania nowe zarysy zjawisk.

Warto zanotować, że powstał słynny telewizyjny film o Tutce, zrealizowany przez Gustawa Holoubka, że raz po raz do tych opowieści wracają aktorzy; na przykład w Krakowie mówił je z pamięci na wieczorze w Związku Literatów, 7 stycznia 1970 roku, Jerzy Nowak. Niektórzy młodzi krytycy radzi by nawet i na teatr Szaniawskiego spojrzeć przez pryzmat humoru i filozofii, który im się wydaje najbardziej aktualny w „Opowieściach profesora Tutki". *).

Fot. L. Janczak

*) Fragment monografii o Szaniawskim, przygotowanej dla Wydawnictwa Łódzkiego.

Portret Stefana Glassa

ANDRZEJ GRUN

Kiedy pułkownikowi robi się kwaśno w nosie

Z oglądaniem portretów Witkacego jest mniej więcej tak, jak ze skokiem z trampoliny do wody. Można postawić pierwszy krok na desce trampoliny i nie postawić drugiego kroku i zejść po drabince na ziemię. Można obejrzeć dziesięć portretów, wykrzywić gębę do wykrzywionych gąb na kartonach i wzruszając ramionami wyjść z galerii w zimowy, normalny pejzaż sienkiewiczowskiego parku. Można po desce trampoliny zrobić krok drugi... trzeci... czwarty... dojść do końca deski... i wtedy nie sposób już nie skoczyć w dół. Trzeba obejrzeć piętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia pięć portretów, żeby chodzić potem w koło ścian galerii raz, drugi, trzeci, jak w karuzeli błędnej i fascynującej i nie móc wyjść... A jak się wyjdzie wreszcie, to wracać jeszcze raz i jeszcze... Tak ma się zresztą sprawa i z twórczością pisarską Witkacego — trzeba sforsować „barierę ochronną", żeby dobrnąć do końca. Żeby wrócić raz jeszcze. Cała twórczość i całe życie Witkacego było fascynującą karuzelą „położoną płasko", groteską szybującą w oparach mistycyzmu w kierunku Prawdy Absolutnej. Każde dzieło, każda myśl wracały u niego w końcu do punktu wyjścia, unicestwiały same siebie... Tak rzecz się ma w pierwszym wykładzie estetyzmu, w powieści „622 upadki Bunga", tak się dzieje w ostatnim obrazie...

„Szydził z samego siebie, z wyznawanych wartości, świadom, że te nie mają dla niego żadnej poręki w obiektywnym świecie..."

A jednak przez wszystkie głosy, które mówią o Witkacym, o nim samym i o jego twórczości, szczególnie uparcie przewija się jedna i ta sama teza. Teza o zdumiewającej jedności między jego różnorodną, renesansową wręcz działalnością twórczą a sposobem, „stylem" życia. Witkacy tworzył swe dzieła artystyczne. Przede wszystkim komponował własne życie, mniej lub więcej ściśle trzymając się zasad swych teorii filozoficzno-estetycznych, można by to życie nazwać „metafizyczną groteską". Ten apostoł życia „udziwnionego" (nie czytać w żadnym wypadku — dziwacznego) najpełniej tłumaczy nasz dzisiejszy przełom świadomości artystycznej. Zdaniem Witkacego, motorem sztuki (a nawet nie tylko sztuki) jest metafizyczne uczucie dziwności życia — napisze w wiele lat później ówczesny antagonista St. J. Witkiewicza, Anatol Stern w ksiażce „Legendy naszych dni".

Z takim przykładem łączenia działalności artystycznej z własnym życiem (czy też odwrotnie), stykamy się w chwili, gdy stajemy wobec jego portretów. Bo pomijając sam fakt, że stajemy wobec dzieł sztuki i to sztuki dużej klasy o charakterze bardzo specyficznym, jedynym — to stajemy również wobec FIRMY. Jedno-

WŁADYSŁAW HUZIK

Miliony Pani Leokadii

„GŁOS ROBOTNICZY" W SWOJEJ STAŁEJ RUBRYCE, TZW. „MAŁYM GŁOSIE", PODAŁ INFORMACJĘ NASTĘPUJĄCĄ: „OB. LEOKADIA M. (TU PEŁNE NAZWISKO I DOKŁADNY ADRES) WPŁACIŁA NA FUNDUSZ MIESZKANIOWY „GŁOSU ROBOTNICZEGO" DLA SIEROT (TU NUMER KONTA PKO) KWOTĘ 3.000 ZŁ. DZIĘKUJEMY".

I tyle. Przyciągnęła moją uwagę ta notatka, oczywiście, wysokością sumy. Cel jest szlachetny. Dobrze świadczy o łodzianach fakt, że takie notatki ukazują się często. Harcerze zbierają makulaturę na mieszkanie dla sierot, młodzież szkolna „zamiast kwiatów dla Pani" przekazuje swoje oszczędności na cele społeczne, wydłuża się lista ofiarodawców, po dwieście, trzysta złotych wpłacają nawet studenci i renciści. Piękne to i potrzebne.

Jednak trzy tysiące złotych to kwota dosyć poważna, wyższa niż statystyczna pensja. Ciekawe, kim jest ta ofiarodawczyni? Jakie były jej motywy? Czy ze szczerego serca chciała przyczynić się do poprawy losu kogoś nieszczęśliwego? Czy też była to dla niej cena, jaką trzeba zapłacić, aby opromienione glorią „stało w gazecie" jej nazwisko?

Postanowiłem sprawdzić rzecz na miejscu, udałem się pod wskazany w „Głosie" adres.

Dzwonek — otwiera mi mile uśmiechnięta kobieta, zaprasza do środka. Rozglądam się w koło: jeden pokój, do którego dochodzi się długim korytarzem, przy którym mieszkają jeszcze trzy rodziny; w kuchence oddzielonej przepierzeniem skwierczą na patelni befsztyki — kobieta przepasana jest fartuchem, oderwałem ją widać od kuchni. W kącie telewizor starego typu, jasna biblioteczka wypełniona książkami. Przytulnie tutaj — jakoś mi to jednak nie wygląda na mieszkanie milionerki.

Kobieta pochmurnieje, kiedy mówię, co mnie do niej sprowadza.

— Bo wie pan, różni teraz do mnie przychodzą... Gdybym wiedziała, że narobię sobie tyle kłopotów...

Zainteresowanych milionami pani Leokadii muszę od razu rozczarować: na grubszą pożyczkę nie da rady jej naciągnąć. Mąż jest tokarzem, ona kucharką w jednym z łódzkich przedszkoli, mają jedno dziecko i równie typowe dochody; oszczędzają na mieszkanie spółdzielcze.

Zamiast snuć karkołomne domysły, wyjaśnijmy po prostu, jak się rzecz miała:

— Mieszkamy, jak pan widzi, w „kołchozie". Wyprowadzał się niedawno sąsiad, stare mieszkanie musiał zdać do Kwaterunku, a że kuchnia, z której korzystał, była w połowie moją własnością, potrzebna była moja formalna z niej rezygnacja. Można to było załatwić po cichu, pan wie — z rączki do rączki... Ale ja nie chciałam zarabiać w ten sposób, chociaż nikomu się przecież nie przelewa. Popieram z całego serca akcję „Głosu Robotniczego", wiem jak to ciężko bez pomocy rodziny, miałam dziesięć lat, kiedy matka umarła, a sześcioro nas w domu było... Postanowiłam więc, żeby obliczyli w Kwaterunku jaką wartość ten mój udział przedstawia i chciałam wpłacić tę sumę na Fundusz dla Sierot...

Przyniósł sąsiad odcinek wpłaty z PKO, podpisałam odpowiednie dokumenty i myślałam, że na tym koniec. Ale wtedy ukazała się ta notatka w gazecie. No i zaczęło się...

Rano przybiegła siostrzenica z mężem; entuzjastycznie wymachiwała gazetą: „Hurra! cioteczka w Totka wygrała, no bo skąd by inaczej. A wiesz, cioteczko, właśnie mieszkanie dostajemy, kochana jesteś, to pożyczysz pewnie z dziesięć patyków, co?".

Wszystkim było przykro, kiedy się okazało, że na kupon pani Leokadii padły tylko dwa razy po... dwa trafienia...

W pracy przez cały dzień urywały się telefony: dzwonili z gratulacjami bliżsi i dalsi znajomi, co drugi „miał właśnie na oku" korzystny interes, więc „gdybyś chciała...". Matka niejakiego Kazinka, którego pani Leokadia dwadzieścia lat temu była matką chrzestną, przyszła z awanturą, dlaczego trwoni pieniądze na jakieś obce bachory, zamiast kupić Kazinkowi nowy garnitur...

— Kazinek jest zdrowy jak byk — odpowiadała pani Leokadia — i mógłby się wreszcie wziąć do uczciwej pracy, a w ogóle to przecież ja grosza poza swoją pensją nie mam.

— To nie lepiej było po cichu z sąsiadem załatwić?

— Nie lepiej — odpowiada im jeszcze teraz, w rozmowie ze mną. — Postąpiłam, jak uważałam za słuszne. Chociaż... gdybym wiedziała, jaką burzę sobie na głowę ściągnę.

Nieporozumienia w rodzinie, to w końcu głupstwo, wyjaśni się, utrzeże. Ludzie „z pomysłami", propozycjami „kokosowych interesów" bardzo szybko orientują się, że nie ma tu czego szukać. Znajomych, którzy obrażają się, że odmawia koniecznej im akurat do zbawienia pożyczki, też nie żal. Tylko te listy...

Bo po tygodniu zaczęły napływać listy:

„Litościwa Osobo! Przeczytałem w gazecie o pani szlachetnej ofierze, tuszę więc, iż nie odmówi Pani pomocy moim obdartym i głodnym dzieciom...". Albo: „Szanowna Pani! Wiem, że nie odmówi Pani mojej prośbie, bo ma Pani bardzo dobre serce. Moje córeczki będą modlić się za Panią. Więc czekamy na... (tu suma i adres).

Podobnych listów — pisanych z wyraźną tendencją wykołowania bogatej naiwniaczki — ma pani Leokadia sporą kolekcję. Zresztą może i kryje się za którymś z nich autentyczna tragedia, kto wie, ale cóż ona tu może poradzić? Ostatnie dostała anonim, autor miał powód się ukrywać: list zawierał stek obelg, najohydniejszych wymysłów — że pewnie taka sama, jak ci wszyscy złodzieje, skoro tyle forsy państwu do kieszeni pakuje.

Rozpłakała się wtedy pani Leokadia, wrzuciła list do pieca.

— Wie pan, tylko proszę się nie gniewać, tak patrzę na pana i myślę, czy przypadkiem też się coś za tym nie kryje... Mógł pan przeczytać w gazecie, że bogata baba, głupia. Pan pomyślał, niech się pan nie obraża, ale różni przecież chodzą z legitymacjami za inspektorów się podają... Więc jak by pan chciał czegoś, to niech pan powie od razu, a ja panu powiem, że nic z tego i będzie spokój. Bo tak to całą noc znowu nie będę mogła zasnąć...

★

★ ★

SZANOWNA PANI LEOKADIO!

Pisze do Pani ten młody człowiek, który w czasie rozmowy z Panią, wyłamywał nerwowo palce — ale, słowo honoru, że to z żadnych niecnych zamiarów nie wynikało. Co prawda cele miałem niejako merkantylne: żyję z pisania felietonów i dopóki mi honorarium nie zapłacą, nie będę mógł dołożyć swoich złotówek do tej pięknej, społecznej składki. Pani wychowywała się bez matki, ja byłem jakiś czas w Domu Dziecka — oboje wiemy jak ciężko jest człowiekowi bez rodzinnego ciepła, bez własnego domu. Dziesiątki chłopców i dziewcząt z Domu Dziecka czeka na mieszkanie latami, liczyć mogą właściwie tylko na rudery, wilgotne pokoiki, z których wyprowadzono lokatorów do bloków — trudno w takich warunkach rozpoczynać życie. Dzięki takim ludziom jak Pani — pierwsi z nich otrzymali już mieszkania. Wiemy zresztą oboje, że bardziej niż pomoc materialna, liczy się dla nich świadomość, że nie są sami, że ktoś o nich pamięta. Nie spodziewają się na pewno łaski filantropijnych milionerów, liczą na życzliwie wyciągniętą dłoń zwykłych ludzi, którzy pomogą im w pierwszym okresie samodzielności. Postąpiła Pani po prostu jak uczciwy człowiek.

Mam nadzieję, że ten list nie sprawi Pani przykrości. Łączę ukłony.

WŁADYSŁAW HUZIK

osobowej, bo jednoosobowej, ale najprawdziwszej w świecie Firmy, której pełna nazwa brzmiała: Firma Portretowa „St. J. Witkiewicz". Dodam od siebie, że odpowiedzialność Firmy leżała w sferze moralnej, aczkolwiek strona merkantylna nie była przez nią bynajmniej lekceważona. Celem Firmy było zaopatrywanie ewentualnych klientów w ich portrety i to — jak za chwilę się dowiemy — portrety różnego rodzaju. Firma wydawała drukiem dla swoich klientów Regulamin. A to w tym celu „aby oszczędzić mówienia po wiele razy tych samych rzeczy". Założona została w 1928 roku i prosperowała ze zmiennym szczęściem aż do roku 1939. Motto umieszczane na ulotkach reklamowych brzmiało jasno i określało w pełni stosunek Firmy do klienta:

Klient musi być zadowolony.

Nieporozumienie wykluczone.

W regulaminie Firmy omówione były pokrótce różne rodzaje oferowanych usług, ceny tychże usług w warunkach normalnych i nadzwyczajnych, obowiązki i prawa samej Firmy jako też przywileje i obowiązki klienta. Przyjrzyjmy się bliżej stronie usługowej. Firma podejmowała się wykonawstwa kilku rodzajów portretów osób płci obojga, a także dzieci. Typy portretów określały ściśle ich formę artystyczną i ich ciężar psychologiczny.

Czytamy w Regulaminie w punkcie pierwszym: „Typ A. — Rodzaj stosunkowo najbardziej tzw. „wylizany", odpowiedni raczej dla twarzy kobiecych niż męskich. Wykonanie „gładkie" z pewnym zatraceniem charakteru na korzyść upiększenia, względnie zaakcentowania „ładności".

W punkcie trzecim czytamy:

„Typ B + d — Spotęgowanie charakteru, graniczące z pewną karykaturą. Głowa większa niż naturalnej wielkości. Możliwości zachowania w portretach kobiecych „ładności", a nawet jej spotęgowanie, w kierunku pewnego „demonizmu".

W punkcie czwartym:

„Typ C, + Co, Et, C + H, C + Co + Et, itp. Typy te wykonane przy pomocy C_2H_5OH i narkotyków wyższego rzędu. Charakterystyka modela subiektywna, spotęgowania karykaturalne tak formalne jak i psychologiczne nie są wykluczone. W granicy „kompozycja abstrakcyjna" czyli tzw. „Czysta Forma".

Po dokładnym omówieniu wszystkich typów (a jest ich kilkanaście), Regulamin informuje, że Firma nie zwraca uwagi najmniejszej na wykonanie ubrania i akcesoriów i, że „kwestia tła należy do Firmy". W Regulaminie wykluczona jest tak że wszelka krytyka dzieła ze strony klienta, wykluczone są także jakiekolwiek oznaki oburzenia, niezadowolenia czy aplauzu. Klient nie ma również prawa żądać od Firmy zniszczenia wykonanego portretu. Dalej następuje omówienie cen i innych warunków (pozowanie, przechowywanie, cen nie skończonych itd)".

Regulamin ten, to coś więcej niż handlowy prospekt. (Wpływy z portretów stanowiły poważny procent w nie największym budżecie St. J. Witkiewicza), to rodzaj manifestu artystycznej deklaracji, o ile czyta się go między wierszami. Okrutne wydrwienie i wielka powaga. Także gorycz Witkiewicza, wynikająca z fałszywego odczytywania przez większość mu współczesnych jego twórczości i j e g o ż y c i a. Był legendą, był atrakcją dla wielu — dziwadłem. A przecież był człowiekiem, który przez jakąś szatańską pomyłkę losu trafił w nasze stulecie. Winien żyć w Renesansie, bo tylko Renesans znał ludzi o tak wybujałej indywidualności. Tak bogato przez naturę obdarzonych różnorakimi talentami.

Irzykowski powiedział kiedyś, że w Polsce można być tylko prekursorem, ale nigdy pionierem. Ogólnie rzecz biorąc jest to insynuacja. W odniesieniu do St. J. Witkiewicza jest to prawda. Stworzył własną teorię estetyczną, teorię „Czystej Formy" w czasie, gdy l'art abstrait na Zachodzie zaczynała stawiać dopiero swoje pierwsze, samodzielne kroki. Był właściwie jedynym w Polsce „prawdziwym" ekspresjonistą, takim, którego śmiało można było wystawić w salonie Sturmu obok Noldego, Dixa, Heckela... Z perspektywy czasu, kiedy łatwo ogarnąć duże obszary sztuki, łatwo też o klasyfikację i zaszeregowanie. I łatwo dziś powiedzieć, że St. I. Witkiewicz na przykład w swoich obrazach był ekspresjonistą p o l s k i m, opierającym się bardzo silnie o tradycje rodzime (rozwinięte później przez formistów). Że różnił się w wielu momentach od ekspresjonistów niemieckich. Że teoria „Czystej Formy", której pierwszy wykład znajdujemy w powieści „622 upadki Bunda" (lata przed rokiem 1910) była teorią samodzielną.

O portretach Witkacego pisano w ostatnich latach wiele — stały się znowu „modne". Zagościły w salach wystawowych zaraz potem jak na scenach pojawiły się jego sztuki. Nie ma sensu powtarzać tego, co o nich pisano. Chciałbym zwrócić na jedną rzecz uwagę. Ilekroć oglądam portrety namalowane przez Witkacego, portrety ludzi znanych, mniej znanych, nie znanych wcale — nasuwa mi się nie odparcie jedno wrażenie — że oglądam wciąż jeden i ten sam portret. Portret St. I. Witkiewicza malowany przez Witkacego; czy może raczej portret Witkacego malowany przez St. I. Witkiewicza w nieskończonych wariantach. Tego do końca nie wiem...

Na marginesie Wystawy Portretów St. I. Witkiewicza w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku im. Sienkiewicza.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Jak się ślicznie upowszechnia

Kiedyś nie można było tego dostać. Ludzie stali w długich kolejkach, czasami przez całe godziny i mimo, że chcieli za to płacić ciężkie pieniądze z własnej kieszeni — bardzo często wracali do domu z pustymi rękami.

Dziś jest inaczej. Towaru zatrzęsienie. Różne gatunki, ceny ulgowe, reklama rozkrzyczana na dwadzieścia cztery fajerki, a ludzie jakoś nie kupują. Albo robią to w sposób dziwaczny: kupują buble za drogie pieniądze, rzeczy zaś wartościowe zalegają półki w charakterze cegieł i nikt ich całymi latami nie bierze, choć ceny są wysoce przystępne.

Ten bandlowy wstęp — wbrew pozorom — dotyczy kultury i sposobów jej rozpowszechniania. Sposobów bardzo często nie pozostających w żadnym logicznym stosunku do oficjalnej polityki. Ba, nie pozostających w żadnym stosunku do rozsądku i celów, jakie sami sobie mądrze wyznaczyliśmy. Rzecz ciekawa: nienormalność tej sytuacji jest doskonale widoczna, pogłębia ją jeszcze fakt, że trwa ona bardzo długo, a mimo to niewiele się robi, aby coś tu zmienić. Co najwyżej od czasu do czasu łapiemy się na stwierdzeniu, że znów daliśmy się zwariować. Po czym znowu milczenie okrywa całą sprawę.

Ogólne zwariowanie sytuacji polega — według mnie — przede wszystkim na tym, że wbrew oficjalnie głoszonym teoriom, staramy się sprzedawać ludziom przede wszystkim to, co w zakładzie wytwarzania kultury jest produkcją uboczną. A więc: piosenkę zamiast symfoniki, bulwarową komedyjkę zamiast klasycznego dramatu, szmirowatą powieść odcinkową zamiast pasjonującej powieści współczesnej, mówiącej jakąś prawdę o epoce w której żyjemy, okolicznościową chałturę zamiast uczciwej, mądrej, wychowującej rozrywki.

I w tym niewesołym, ze złego snu, krajobrazie niczym słupy milowe tkwią błędy, które ciągle popełniamy. Błędy fundamentalne coraz trudniejsze do wykorzenienia.

Ktoś może tę opowieść między bajki włożyć, ale ja naprawdę pamiętam jeszcze czasy, kiedy pójście do teatru traktowane było jako bardzo przednia rozrywka, rodzice zaś prowadzili tam swoje pociechy w nagrodę za postępy w nauce. Tak rzeczywiście było. Dziś jest inaczej. Dziś istnieje cały aparat naganiaczy, który broniącą się rękami i nogami publiczność siłą wpycha do teatru.

Nauczyciele sporządzają listy obecności na Fredrze, Szekspirze i Słowackim, organizatorzy zaś widowni urządzają łapanki w zakładach pracy, hermetycznie zamykają widzów w autobusach i siłą sadzają w teatralnych fotelach. Jak tak dalej pójdzie, zaniknie niebawem zwyczaj wręczania kwiatów aktorom, urodzi się natomiast nowy obyczaj: to aktorzy obrzucać będą widzów wiązankami fiołków i storczyków.

Żarty żartami, ale nikt mi nie wytłumaczy, że normalna jest sytuacja, w której głośno się mówi o zlikwidowaniu instytucji tak anachronicznej jak kasa teatralna. Nie dam się też przekonać, że wszystko jest w porządku jeśli o polityce artystycznej teatru nie prawie nie ma do powiedzenia kierownik literacki, a głos decydujący zabiera organizator widowni. Zgadzam się z teorią, że teatr jest czymś pośrednim między świątynią, a zakładem produkcyjnym, ale głęboko boleję nad karłowatością, a czasem wręcz zanikiem tej pierwszej funkcji.

Wydaje mi się, że sytuacja dojrzała do reform. Boję się, że jeszcze trochę i sytuacja będzie tak dojrzała, że nic już się zreformować nie da. A wyszliśmy przecież od szczytnych haseł i rozsądnych idei. No, ale ktoś przedobrzył, a potem już poszło na całego i udogodnienia w kontakcie widza z teatrem są w tej chwili tak wielkie, że widz przestał teatr cenić. Zastanawiam się, czy tzw. teatralny kolporter nie czuje się trochę jak aferzysta, naciągacz — wtedy, kiedy konstatuje, że znowu nabrał grupę publiczności na pójście do teatru.

Mam wrażenie, że w wielu instytucjach kulturalnych tkwi kompleks winy. Ma sobie za złe filharmonia, że zamiast nadawać uczciwą muzykę płynącą z elektrycznych gitar i młodych gardeł przepiłowuje słuchacza Bachem i Chopinem. Wyobrażam sobie, jak gryzą się dystrybutorzy filmowi, kiedy nie do końca uda im się zakup filmów za granicą, kiedy obok malowniczych opowieści o Winnetou ktoś im wtryni Bergmana. Wiem, jak płoną rumieńcem wstydu pracownicy Radia, kiedy zamiast Haliny Kunickiej i Haliny Frąckowiak, nadaje się Marię Callas. Podejrzewam, co musi czuć wydawca, kiedy nie uda mu się wypełnić planu wydawniczego serią z jamnikiem i kluczykiem i kiedy musi wydać tom wierszy — albo — to już dno — esejów o sztuce.

Obawiam się, że wielkimi krokami zbliża się do nas kultura namiastek, kultura umysłowej gumy do żucia, formacja produkująca papki, które się przełyka bez trudnej konieczności gryzienia. Komiks zamiast powieści, bryk zamiast naukowego opracowania, ekranowa bijatyka i strzelanina w zamian za niefotogeniczną psychologię, kabaret z kawą i koniakiem zamiast teatru, Czerwone Gitary w zastępstwie kwartetu Beethovena. Jeśli przedstawiam tę apokaliptyczną wizję zdając sobie sprawę z faktu, że w kulturze masowej jest miejsce na wszystkie formy, to robię to dlatego, iż zbyt gwałtownie w ostatnim czasie przechyliły się proporcje na wątpliwą korzyść kultury miłej, łatwej i przyjemnej. A w dodatku tzw. środki masowego przekazu poszły na ugodę ze wszystkimi gustami publiczności, chcą być z nimi zgodne za wszelką cenę — nawet za cenę rezygnacji z ambicji kształtowania dobrych gustów, z ambicji wychowywania i uczenia kontaktów z prawdziwą muzyką, literaturą i teatrem. To jest, niestety, prawdziwe i w prawdzie swojej bardzo smutne. Bo co nam zostaje na pocieszenie ? Stwierdzenie, że się nam ta kultura tak ślicznie upowszechnia. A że się upowszechnia nie to, co potrzeba i nie tak jak trzeba — o tym milczymy. Obyśmy tego gorzko nie żałowali.

spektakle tygodnia

	ilość spekt.	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Cyrulik sewilski"	1	1260	100
„Romeo i Julia"	1	1260	100
„Faust"	1	1260	100
NOWY			
„Życie jest snem"	1	700	100
„Dziś do Ciebie przyjść nie mogę"	1	525	75
MAŁA SALA			
„Rodeo"	1	140	70
„Pelikan"	2	280	70
POWSZECHNY			
„Boso, ale w ostrogach"	2	1320	95
„Ojcowie rodzą się w szafach"	1	600	95
JARACZA			
„Irydion"	5	447	87
7.15			
„O krasnoludkach i sierotce Marysi"	6	422	100
FILHARMONIA			
koncert symfoniczny	1	510	75

TP OBIEKTYW

Teatr Melchiora Wańkowicza

Jak wszystkim zapewne wiadomo, Melchior Wańkowicz niewiele ma wspólnego z teatrem. Nie pisze dla teatru, nie reżyseruje, nie gra w nim jako aktor. I właśnie wbrew temu, oglądając go na małym ekranie w pierwszy dzień Wielkiejnocy, odnosiłem wrażenie, że danym mi jest uczestniczyć w znakomitym spektaklu. Spektaklu jednego aktora.

Tak, bo prowadzący rozmowę Aleksander Małachowski w obliczu wszechwładnej indywidualności Wańkowicza już po paru chwilach przestał się liczyć. Był co najwyżej komparsem, tłem, nie partnerem. Sam odczuwał to chyba, gdy parokrotnie na odezwania się mistrza Melchiora nie znajdował słów odpowiedzi i tylko bezradnie rozkładał ręce.

Wańkowicz jest pasjonującym pisarzem. Zdanie to jest tak bezdyskusyjne, że aż pachnie truizmem. Ale pisarzem bardzo swoistym. Jeszcze nie było mody na literaturę faktu, kiedy Wańkowicz zaczął ją właściwie tworzyć. Przemierzał kraj (jeszcze ten przedwojenny) z notesem reporterskim w dłoni, wypytywał do znudzenia napotkanych na trasie swych rajdów ludzi i notował skrzętnie każdy drobiazg pozornie bez znaczenia, każdą informację, każdą liczbę.

To był etap swoistego tankowania, typowy dla każdego rzetelnego dziennikarza. Proces przetwarzania tych notatek w literaturę był już własny, wańkowiczowski. W swoim tyglu prażył umiłowanie pięknej i precyzyjnej mowy polskiej, wrodzoną pasję i dociekliwość badacza i nieustanną pamięć o odbiorcy, o czytelniku, którego nie wolno znudzić, którego trzeba zarazić własnym zapałem i własnym wzruszeniem.

Nie wiem, czy wymieniłem wszystkie główne ingrediencje, składające się na niepowtarzalność zjawiska literackiego, któremu na imię Melchior. Z pewnością nie. Z pewnością lepiej i głębiej mówił o tym sam Wańkowicz w owej rozmowie przed kamerą. Mimo 38 stopni gorączki, którą miał w momencie nagrywania rozmowy.

I znowu wracam do tytułu tego felietonu. Teatr Melchiora Wańkowicza. Czuliśmy się jak w teatrze. Wielki Czarownik potrafi równie skutecznie brać w jasyr nasze dusze swoim pisarstwem, jak i bezpośrednią rozmową. Powiedziałbym, że nie ma wyraźnego przedziału między tym co Wańkowicz pisze i tym, co mówi. To jakby naturalny dalszy ciąg, w równym stopniu nasycony osobowością pisarza.

Trudno pomówić Wańkowicza o nadmiar skromności. Nigdy nie był skromny, zawsze uważał, że ma czytelnikowi coś ciekawego do powiedzenia. Odsłaniał mu się ze wszystkim, nawet z własnego życia rodzinnego nie czyniąc tabu. Ale specyficzne zarozumialstwo Wańkowicza nie jest wadą. Jest integralnie wtopione w jego indywidualność twórczą. Bez niego byłby Wańkowicz niepełny, straciłby coś ze swego szlacheckiego animuszu. To tak, jakby wyobrazić sobie Zagłobę bez przechwałek.

Rozmowa Małachowskiego z Wańkowiczem była moim zdaniem najcenniejszą pozycją świątecznego programu w telewizji. W pewnej mierze ratowała ten nienajlepszy program. Zimno mi się robi na wspomnienie filmu „Małżeństwo z rozsądku", nadanego w tenże pierwszy wieczór świąteczny. Film Stanisława Bareji poddany był swego czasu miażdżącej krytyce. Nie zdecydowałem się pójść na niego do kina. Ale i tak, z woli kierownictwa programowego TV, dopadła mnie ta żenująca komedia i osaczyła w moim własnym domu. Od jej humorku mogły aż zęby rozboleć.

Z pewnym niepokojem oczekiwałem głośno anonsowanego debiutu dramaturgicznego Wiktora Zina. Dawałem już w Tele-obiektywie wyraz swemu uznaniu dla wielkich zdolności popularyzatorskich tego ulubieńca publiczności. Dzięki profesorowi Zinowi danym nam było przeżyć niejedną uroczą chwilę przed telewizorem. Mówiłem wyżej o sarmackim temperamencie Wańkowicza. Jest coś z tego i w Zinie. Ale...

Ale to wszystko nie może być argumentem przemawiającym za tekstem dramatycznym, który nam Zin za pośrednictwem telewizji, w obstawie świetnych wykonawców, zaprezentował. To nie było dobre. Chciałoby się powtórzyć za „Życiem Warszawy": lepiej węglem...

Władysław Orkan

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Motto filmu „BITWA O ANGLIĘ", będące słowami W. CHURCHILLA, wypowiedzianymi tuż po zwycięstwie, brzmi: „Jeszcze nigdy w dziedzinie ludzkich zmagań tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym". Hołdem złożonym tym nielicznym jest film, który wszedł na nasze ekrany w pół roku po słynnej londyńskiej premierze, która odbyła się w obecności wielu żyjących jeszcze uczestników powietrznych walk, rozegranych w 1940 roku nad ziemią angielską. W sali premierowej obok sędziwego marszałka brytyjskiego lotnictwa, sir H. Dowdinga i swych angielskich kolegów znajdowali się również przedstawiciele 141 polskich lotników, którzy brali udział w wielkiej bitwie o Anglię, walcząc nie tylko o nią.

W tym miejscu warto zapewne przytoczyć opinię jednego z nich, płk. S. Skalskiego, który w wywiadzie zamieszczonym w „Ekranie" powiedział: „...Film „Bitwa o Anglię" ukazuje udział Polaków w sposób właściwy i wyczerpujący. Bohaterstwo naszych załóg zyskało w filmie odpowiednią rangę". Z tak autorytatywną opinią polemizować nie sposób, dodajmy od siebie tylko tyle, iż udział Polaków pokazano tyle samo z serdecznością, co i angielską powściągliwością i specyficznym poczuciem humoru.

Niezaprzeczalnie wielki wysiłek realizatorów filmu, którym przewodził reżyser G. Hamilton, zmierzał w kierunku stworzenia filmu dokumentalnego, odtwarzającego w sposób możliwie najbardziej dramatyczny historyczne tło wydarzeń i nadludzki trud i bohaterstwo 2365 lotników walczących o niebo nad Anglią.

Oglądaniu tego filmu towarzyszy myśl o tym, iż jego realizacja była swego rodzaju poważną operacją wojskową. Zdobycie i przystosowanie do lotów dziesiątków samolotów bombowych i myśliwskich z czasów II wojny, rekonstrukcja wygląd dawnych lotnistk, troska o wierność rekwizytów i szczegółów, wreszcie sfilmowanie powietrznych akcji i walk wymagało olbrzymiego nakładu kosztów, pracy i niezwykłej realizatorskiej sprawności.

Najznakomitszym jej wyrazem są oczywiście owe sceny walk powietrznych zarówno w szerokich ujęciach panoramicznych, jak i ograniczonych do indywidualnych, samotnych zmagań pilotów, walczących z atakującym przeciwnikiem, czy palącym się własnym samolotem. Powstał film efektowny, znakomity wprost w sensie widowiskowym, film historycznie uczciwy i szlachetny, a jednak budzący pewien niedosyt, a nawet chyba zniecierpliwienie. Źródła tych uczuć są zapewne różne. Irytować mogą, i to zapewne nie podlega dyskusji, zupełnie niepotrzebne, rodem z „kina papy" wzięte wątki osobiste, rozbijające dramatyzm fabuły napisanej przez historię. Nużą cokolwiek, to już oczywiście dyskutować można, przedłużające się czy nawet chyba powtarzane efektowne ewolucje walczących i spadających samolotów. Najbardziej jednakże dokucza myśl, iż film, który oglądamy, jest wielką, efektowną, ale już legendą o bitwie o Anglię. Może to już los każdej historii, iż legendą obrosnąć musi. Historia to jednak tak niedawna, a towarzyszyły jej już filmowe autentycznie dokumentalne zapisy. Świadomość niekłamanego dramatyzmu tych ostatnich wywołuje owo uczucie dystansu i niedosytu wobec niewątpliwie szlachetnej i uczciwej w intencjach, ale jednak zbyt kolorowo widowiskowej „Bitwy o Anglię" z 1969 roku.

Nie pierwszy raz granice między autentyzmem i fikcją, między kinem pod względem realizacji mistrzowskim a kinem artystycznym stają się bardzo niewyraźne.

☆ ✲ ☆

Wobec faktu ogromnej posuchy na filmy dla dzieci jednoczesne premiery dwóch filmów dla nich są wydarzeniem niezwykłym. Słowa uznania dla „Chłopców z Placu Broni" miałam już okazję wyrażać w imieniu własnym i sądzę, że młodych widzów również. Szkoda, że równie ciepłymi słowami nie można powitać polskiego filmu S. Jędryki „PARAGON GOLA!" zrealizowanego na podstawie powieści A. Bahdaja. Film ten znany jest zapewne naszym dzieciom, gdyż powstał jako montaż telewizyjnej serii, będzie też przez nie dobrze przyjęty, gdyż dzieci zawsze z radością witają swych rówieśników i to w dodatku już dobrych znajomych z telewizyjnego ekranu. My, dorośli, musimy jednakże zawsze trochę powybrzydzać i tym razem uczciwie przyznać, że właśnie świat dorosłych, a ściślej nie najlepiej zaprojektowane ich postacie, rażące schematyzmem postaw i charakterów, psują ten film bardzo.

Krąg problemów moralnych, rozważonych w zamkniętym świecie dziecięcych bohaterów „Chłopców z Placu Broni" urzekał swą klarownością, w „Paragonie" większa może dbałość o autentyzm nie wyszła filmowi na dobre. Stereotypy postaci i sytuacji zbyt silnie dały znać o sobie, zabrakło, być może, także sprawnej reżyserskiej ręki. Na wyróżnienie zasługuje wątek ucieczki kajakiem na Madagaskar, a dziecięcy, aktorzy wychodzą na ogół zwycięsko z próby swych umiejętności, nie muszą się wstydzić swych dorosłych partnerów.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

ZDEMASKOWANIE MOTYLA

Książka pt. „Papillon" (Motyl), która ukazała się dziewięć miesięcy temu, pamiętnik byłego więźnia, Henri Charriere'a zwanego Motylem, osiąga już prawie milionowy nakład. Autor stał się milionerem i sławną osobistością. Mauriac nazywa go „kolegą", czyta go Pompidou, Brigitte Bardot fotografuje się chętnie z Motylem w zimowym uzdrowisku francuskim Avoriaz. Charriere skazany w roku 1931 pod zarzutem morderstwa na ciężkie roboty, zesłany do Gujany Francuskiej, po kilkakrotnej ucieczce i wielu sensacyjnych przygodach, osiadł w Wenezueli, ożenił się, a teraz opisał swe fantastyczne przeżycia. Przypominają one przygody bohaterów awanturniczych powieści Dumasa, czy „Tajemnice Paryża" Eugeniusza Sue, ale zaczęto o tym mówić dopiero teraz kiedy okazało się, że autor w swym pamiętniku niejednokrotnie minął się z prawdą: Siedemdziesięcioletni Charles Hut, również były więzień w Cayenne w Gujanie stwierdził, że pamiętnik Motyla to po prostu kłamstwo i że Charriere sobie przypisał te przeżycia, które wyczytał w książkach, a między innymi właśnie w pamiętnikach samego Huta, który je opublikował w roku 1955. Kilka tygodni temu, były reporter jednego z popularnych tygodników paryskich, Georges Ménager wydał demaskatorską książkę pt. „Cztery prawdy o Motylu". Ménager sięgnął w swych poszukiwaniach prawdy, aż do okresu przed skazaniem Motyla. Kimże według Ménagera był wówczas Henri Charriere, zwany przez swych kolegów Motylem? Sutenerem i konfidentem policji. Zamordował on podobno swego kolegę, również sutenera za to, że ów ostrzegał innych przed Motylem, jako policyjnym konfidentem. Motyl był m. in. w bliskich stosunkach z niejaką Nenette, którą wysyłał na ulicę dla wiadomego zarobku. Ożenił się później z nią. Nenette żyje i jest właściwie nadal legalną małżonką Charriere'a. Dziś już 58-letnia i na wpół sparaliżowana, przebywa w domu dla starców i wspomina Motyla, swego męża obecnie tak sławnego i tak bogatego, który przysyła jej co miesiąc 1.500 franków. Wyszła i druga książka anty-Motylowa, której autorem jest Gerard de Villiers. Książka ma tytuł: „Papillon epingle" (dosł.: „Motyl przyszpilony"). Villiers powiedział o pamiętniku Motyla: „To jest oszustwo. Gdyby to wszystko mogło być prawdą, ten człowiek musiałby być mieszaniną Robin Hooda, święty Jerzego, Don Kichota i Tarzana". Villiers dodaje prawdy o Motylu przebył samolotem, samochodem, łódką i pieszo 30 tysięcy kilometrów. Stwierdził, że owszem Charriere uciekał dwa razy z zesłania, ale bynajmniej nie miał takich interesujących przygód jakie opisał. Podobno większość czasu w ciągu odsiadywania kary przepracował jako czyściciel klozetów.

Zdemaskowanie Motyla — pisze hamburski tygodnik „Der Spiegel" — jest jednym z najbardziej zabawnych skandali literackich w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

„Przyszpilony Motyl" nie zaprzecza, że jego pamiętniki to nie zawsze prawda, ale mówi o sobie, że jest powieściopisarzem i że ma prawo do fantazji. Natomiast protestuje, jak najgoręcej przeciw zbyt

Henri Charriere z żoną Ritą i Brigitte Bardot w Avoriaz

dociekliwemu badaniu jego przeszłości. Czy książka „Papillon" ma naprawdę walory literackie? Opinie są różne. Prawda o Motylu nic jednak nie zaszkodziła pokupności książki. Tłumaczona jest na obce języki. We Włoszech w ciągu 10 dni rozkupiono „Papillona" w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy, w Hiszpanii w ciągu jednego tylko tygodnia sprzedano 30 tys., Amerykański producent filmowy Reed chce nakręcić film na podstawie pamiętnika Motyla. Reżyserem ma być Roman Polański, w roli Motyla wystąpi Alain Delon.

160 OBRAZÓW I RYSUNKÓW PICASSA

Do Awinionu przywieziono ostatnio 160 obrazów i rysunków, dotąd nie publikowanych, Pabla Picassa. Dzieła te zostały natychmiast zabezpieczone w schowkach banku.

Płótna i rysunki stanowią wynik pracy wielkiego artysty z roku 1969 i nie były jeszcze nigdzie wystawiane. Zostaną one pokazane w Pałacu Papieży w Awinionie w maju podczas tegorocznego festiwalu.

ZMARŁ ARTHUR ADAMOW

Po wieloletniej ciężkiej chorobie zmarł w wieku lat 62 wybitny francuski dramaturg Arthur Adamow.

Urodził się w roku 1908 na Kaukazie, jako syn zamożnego właściciela połowy szybów naftowych w Baku. Po rewolucji emigrował i od 1924 roku mieszkał stale w Paryżu. Od roku 1950 Adamow staje się znanym dramaturgiem należącym do tzw. awangardy paryskiej (wraz z Beckettem i Ionesco). Jego dramaty zrywały z tradycyjną akcją, określonością miejsca i czasu, wyrażały absurdalność ludzkiego losu i bezsilę wobec zdarzeń i historii. Z tego okresu twórczości Adamowa pochodzą takie sztuki jak „Inwazja", „Wielki i mały manewr", „Wszyscy przeciwko wszystkim". Inne dramaty jak np. „Profesor Taranne" czy „Powroty" to sceniczne przedstawienia marzeń sennych. Powoli w twórczości Arthura Adamowa pojawiają się nowe elementy, następują zasadnicze przemiany. Przełomem jest sztuka „Ping-pong", w której pod alegoryczną postacią ujawnia się ważna problematyka społeczna. Akcję sceniczną Adamow zaczyna osadzać w konkretnej rzeczywistości, w życiu interesuje się problemami politycznymi, zbliża do obozu lewicy, zaprzyjaźnia z postępowymi pisarzami. W roku 1957 napisana sztuka pt. „Paolo Paoli" jest już dziełem wyraźnie demaskującym i oskarżającym stosunki społeczeństwa burżuazyjnego sprzed pierwszej wojny światowej. W „Wiośnie" tłem są wydarzenia z okresu Komuny Paryskiej. Arthur Adamow tłumaczył także na francuski dramaty Czechowa i Gorkiego oraz adaptował na scenę „Martwe dusze" Gogola.

PRAWNUK KAROLA MARKSA PARYSKIM RZEŹBIARZEM

Jak podał ostatnio hamburski tygodnik „Der Spiegel", Karl-Jean Longuet, liczący obecnie 65 lat, paryski rzeźbiarz jest prawnukiem Karola Marksa. Ostatnio Longuet, który dotąd uprawiał przeważnie rzeźbę abstrakcyjną, postanowił wykonać realistyczny portret swego wielkiego pradziadka, Karola Marksa. Babką artysty była Jenny, najstarsza córka Marksa, która w Paryżu wyszła za mąż za Charlesa Longueta.

K. J. Longuet wystawiał swe dzieła w Turynie, Wiedniu, Sao Paulo, Antwerpii i Tokio. Chce on aby jego sztuka służyła wszystkim ludziom. Rzeźby swe pojmuje jako syntezę elementów krajobrazu i architektury. Umieszczane pod gołym niebem zdobią one budynki szkolne i gmachy różnych instytucji.

Karl—Jean Longuet

Artysta wraz z żoną Simone, zachowuje z czcią pamięć o swym wielkim przodku. Toteż na pamiątkę współpracy i przyjaźni Marksa z Fryderykiem Engelsem swemu synowi dał imię Frédéric, a córce Laura, tak jak miała na imię jedna z córek Marksa.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

- **ANDRZEJ MAKOWIECKI** — Ludzie, którzy nas ubierają
- **KAROL BADZIAK** — Miasteczko z własnym kronikarzem
- **JÓZEF H. WIŚNIEWSKI** — Twarzą na kamień
- Felietony, recenzje, nowela kryminalna.

Półka z książkami

SPOTKANIA Z POLAKAMI

Olgierd Budrewicz od kilkunastu lat uprawia zawód „reportera dalekich szlaków", podróżuje po świecie — szukając nie tylko egzotyki obcych lądów, ale konsekwentnie poszukując polaników. Ów motyw „Polaków w obcych krajach" przewija się bezustannie w reporterskich relacjach Budrewicza.

W najnowszej książce tego popularnego reportera, wydanej przez „Interpress" motyw Polaków na obcych lądach jest jednak motywem zasadniczym. Budrewicz skatalogował niejako wszystkie swoje — jakże liczne — spotkania z rodakami. Są to przeważnie proste opowieści o ludzkim życiu, o kolejach losu, który kazał mieszkańcom Mazowsza, Śląska czy Podhala przenieść się nad Amazonkę, pod górę Kilimandżaro czy na wyspy Pacyfiku.

Są to opowieści prawdziwe, choć często dramatyczne, sensacyjne, czy nie prawdopodobne tak, jak nieprawdopodobne są trudne losy wielu Polaków rozrzuconych po świecie.

Mamy więc w nowym tomie reportaży Olgierda Budrewicza sylwetki dziarskich „polonusów" w Caracas, mamy opowieść o „Częstochowie w Texasie", o polskich lekarzach w afrykańskiej dżungli, o rodakach, żyjących w cieniu Himalajów... Słowem mamy opowieści z całego świata — budzące refleksje na temat „gdzie nas nie ma"!

I wszędzie, nawet na krańcach świata — jest tęsknota za Polską i czuła więź ze starym krajem. „Gdzie są chłopcy z tamtych lat? — pyta Budrewicz i daje odpowiedź: „W piosence wiatr ich rozwiał, w życiu, na szczęście, stało się inaczej.

Olgierd Budrewicz, „Spotkania z Polakami". Wyd. Interpress 1969, cena 30 zł.

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Po nowej Łodzi tradycja chodzi

OPARTY NA FOLKLORZE — WSPOMNIENIA MŁODOŚCI — „ANTEK Z ŁODZI..." — INTERES NA EPIDEMII — KAMIENICA NA DŁUGIEJ — „DOBRE STALOWE..."

Wyroiły się w ostatnim sezonie kabarety na łódzkim bruku, że hej! Mamy już estradki w „Agawie", „Balatonie", „Tivoli"... Niedawno mówiono mi o projekcie estrady kabaretowej w „Staromiejskiej"... Ale jest jeszcze jeden kabaret wokół którego brak szumnej reklamy (dlatego pewno, że nie firmuje go „Estrada"), lecz, który zasługuje na uwagę z kilku względów.

Po pierwsze jest to program oparty wyłącznie na łódzkim folklorze, osadzony mocno w rzeczywistości tej minionej i także tej obecnej. Autor scenariusza i reżyser Henryk Rudziński wykorzystał w nim nie tylko stare piosenki łódzkiego przedmieścia, ale sięgnął też do zapisów pamiętnikarskich, do zżółkłych roczników starych gazet i kalendarzy. Zrodził się w ten sposób sympatyczny program nasycony przedmiejskim folklorem, zanikającym już lub doszczętnie zapomnianym. Zrodził się program, który gra na instrumencie bardzo czułym — na lokalnym patriotyźmie, program który ten patriotyzm wyzwala... I dlatego uważam, że jest to kabaret potrzebny w mieście, gdzie dopiero wyrasta „łódzkie" pokolenie — bo to pierwsze w większości stanowią przybysze z różnych stron Polski.

Po drugie jest to kabaret zrodzony z inicjatywy grupy zapaleńców przy pomocy redakcji łódzkiej popołudniówki „Expressu Ilustrowanego"... Dlaczego to ważne? Otóż niezależność od „Estrady" daje owemu kabaretowi możliwość prezentowania swego programu bez koniecznych narzutów, słowem po cenach zniżonych, choć poziom programu wcale nie jest zaniżony.

Program nosi tytuł „Po starej Łodzi Polikarp chodzi". I rzeczywiście kabaret nie jest przypisany do żadnej kawiarni czy knajpy. Wędruje sobie po przyzakładowych klubach i świetlicach, po domach rencistów — gdzie starzy ludzie przyjmują te piosenki i teksty sprzed lat z największym sentymentem i łezką w oku — bo to przecież wspomnienie ich młodości.

„Antek z Łodzi z Mańką chodził
Romansował, że aż strach
A wieczorem na zabawie
Tańczył polkę rach-ciach-ciach"...

Znacie? Oczywiście — to jedna z popularniejszych piosenek łódzkiego przedmieścia. Ale nie wiem skąd Rudziński wygrzebał na przykład tę:

„Z dobrych bruków Łódź nie słynie
Że potrzebne to rzecz pewna
Więc ostatnio na Pietrynie
Położono kostki z drewna..."

Stary to musi być i szacowny tekścik — drewnianą kostkę na Piotrkowskiej położono przecież gdzieś w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Była wówczas dumą rajców miejskich i łodzian — prasa tamtych lat pisała o tej inwestycji więcej niż współczesna o budowie osiedla na Retkini na sto tysięcy mieszkańców.

Ale wróćmy do „starych, dobrych czasów". Z estrady padają teksty gazetowych tytułów i reklam. „Cholera atakuje miasto" — „Doktor Serkowski skutecznie szczepi przeciw chorobom" — „Przeciw cholerze wina jabłkowe własnego wyrobu poleca Ender, Piotrkowską 103"... Stare, „dobre" czasy, kiedy epidemia dziesiątkowała miasto, ale i na epidemii niektórzy robili interesy... Autorzy programu ustrzegli się taniej dydaktyki, nie opatrują autentycznych, wymownych tekstów zbytecznym komentarzem — bo i po co? Konwencja kabaretu takich zabiegów nie znosi a wymowa podawanych z estrady autentyków jest nader oczywista.

Tak jak choćby wymowa znanej wśród starszego pokolenia piosenki o kamienicy na ulicy Długiej, „gdzie wszystkie okna zbrojne kratą", a na dziedzińcu szubienica... Łódzka wieść gminna głosi, że miejscowy kat miał nieco makabryczny zwyczaj na owej szubienicy w czasie „wolnym od zajęć" zakładać... huśtawkę. Do dziś opowiada się w starych łódzkich rodzinach mrożące krew w żyłach historie o okrutnym kacie, którego wreszcie dosięgła kula z wyroku rewolucyjnej bojówki.

Wróćmy jednak na estradę, skąd padają znów słowa reklam sprzed lat. To bardzo dobry pomysł, że wykorzystano je tak obficie. Cóż nam opowie o dawnych czasach bardziej malowniczo i bardziej — wbrew pozorom — obiektywnie, niż właśnie gazetowa reklama. A zatem — jak bawiono się w Łodzi przed laty, co porusza ło przeciętnego łodzianina najbardziej....?

Może to: „Kinoteatr „Uciecha", Limanowskiego 36 tylko przez ostatnie dwa dni daje największy film świata. Majestatyczna wizja krwawej epoki z czasów panowania rzymskiego pt. „Messalina". Emocjonujące sceny miłości i namiętności. Występy gladiatorów, wyścigi konne..."

A może to: „Wielka zabawa ogrodowa podoficerów w Parku Julianów. Wiele atrakcji, kosz szczęścia z fantami, na którym główne nagrody to — patefon i cielę. Tamże strzelnica, huśtawki, karuzela i poczta francuska".

W kinie „Przedwiośnie" film o wampirze, a w sali Rady Miejskiej poranek poetycki, w rewii „Coctail" Zizi Halama, a na wieczorze literackim poeta Mieczysław Braun z „łaskawym współudziałem uroczej Sui-Sen, córki mandaryna Wa znad Jan-Tse-Kiangu..." Pewno, że można się uśmiechać, słuchając owych reklam sprzed lat, ale dla wielu będzie to uśmiech przez łzy.

A potem cały zespół śpiewa piosenkę Słowikowskiego:

„Dobre stalowe, mocne stalowe
Dobre stalowe, bierz pani, bierz..."

i to już jest współczesność i ta postać równie śmieszna co tragiczna, którą każdy z łodzian zna z Piotrkowskiej.

„Dobre, kabaretowe, mocne kabaretowe" jest to przedsięwzięcie Henryka Rudzińskiego, Janusza Kaźmierczaka i wykonawców Ireny Oganowskiej, Adama Bieńkowskiego, Janusza Pniewskiego i Bohdana Wiśniewskiego. Prosty, bezpretensjonalny program, osadzony w łódzkich realiach, historii i folklorze. „Po dawnej Łodzi Polikarp chodzi" — nazywa się ten program, ale wędrówki kabaretu po łódzkich fabrykach można określić inaczej, choć podobnie. — „Po nowej Łodzi tradycja chodzi". I dobrze, że przypomina, że tracą najczulsze struny łódzkiego patriotyzmu.

JERZY WIDOK

HUGO PATTON

STO TYSIĘCY DOLARÓW

— Od godziny czeka na pana jakaś kobieta — oznajmiła moja sekretarka Lorna. — Nie chciała mi nic powiedzieć. Chyba nie mieszka w Bostonie.

Poprosiłem klientkę do gabinetu.

— Czy pan Michel Kings, detektyw? — zapytała trochę wystraszona młoda kobieta.

— Tak. Proszę spokojnie opowiedzieć, co panią do mnie sprowadza.

— Przyszłam tutaj, ponieważ ktoś mnie szantażuje. Chce wyciągnąć ode mnie pieniądze. Boję się iść do policji i dlatego wybrałam prywatnego detektywa.

— Czy pani jest bogata?

— Owszem, od tygodnia. Nazywam się Sally Harst. Mój mąż Mike, jest... był szoferem w Bentley Company. Rok temu porzuciłam Mike'a ponieważ zdradzał mnie. Wyjechałam do Kalifornii i tam poznałam Boba Krausa. Postanowiliśmy pobrać się, lecz prawnie jestem żoną Mike'a Harsta.

— Przyjechała pani do Bostonu, aby go poszukać?

— Zgadł pan. Chciałam Mike'owi zaproponować rozwód. Ale w Bentley Company powiedzieli mi, że Mike nie żyje. Zmarł przed sześcioma miesiącami. Miał wypadek, przejechał go jakiś samochód.

— Nieprzyjemna historia — powiedziałem — naturalnie dla Mike'a.

— Policja szukała mnie, ale nikt nie znał mojego adresu. Wszystkie rzeczy Mike'a wraz z asekuracją leżały w biurze sędziego. Każdy szofer, który pracuje w firmie Bentley, jest ubezpieczony na sto tysięcy dolarów. I taką sumę otrzymałam z towarzystwa asekuracyjnego.

— Ładne posunięcie — powiedziałem. Spojrzała na mnie zdziwiona, nie rozumiejąc, co mam na myśli.

— Wróciłam do Kalifornii, aby poślubić Boba Krausa. Pewnego dnia ktoś do mnie zatelefonował i powiedział, że te pieniądze jemu się należą, że może mi zostawić dziesięć tysięcy dolarów. Resztę, czyli dziewięćdziesiąt tysięcy, mam dostarczyć mu do soboty. Groził, że jeśli pójdę na policję, to mi zmiażdży głowę. I dlatego jestem tutaj.

— Więc pani chce, abym przeszkodził w zrabowaniu tych pieniędzy?

— Zapłacę panu, panie Kings. Ten człowiek powiedział, że wieczorem znów zatelefonuje.

— Przyjdę do pani hotelu. Chcę być przy tym, jak będzie z panią rozmawiał.

☆

— Porozumiałem się z firmą Bentley, aby zasięgnąć wiadomości o Haście. Pamiętali dobrze ów nieszczęśliwy wypadek. Harst pośliznął się i wpadł pod koła manewrującego samochodu. Głowę miał zupełnie zmiażdżoną. Gdyby nie znaleziono przy nim dokumenty, nikt by go nie poznał.

— A kto był przy kierownicy manewrującego samochodu? zapytałem dyrektora firmy.

— Nie dowiedzieliśmy się. Wypadek miał miejsce w nocy.

— Czy ktoś nie zwolnił się z pracy przed lub po wypadku?

— Tylko jeden człowiek, Peter Sheldon. Nie odebrał nawet reszty pieniędzy, które mu się jeszcze należały.

— Kiedy odszedł? — badałem dalej.

— Następnego dnia po śmierci Mike'a. Ale policja wykluczyła jego osobę ze sprawy. Był w domu, gdy zdarzył się wypadek.

Wziąłem adres Sheldona i wyszedłem. Dyrektor poinformował mnie, że Sheldon nie mieszka już pod tym adresem, policja na próżno szukała go przez kilka tygodni.

Wieczorem znalazłem się w pokoju Sally Harst i czekałem na telefon tajemniczego szantażysty.

—Czy mogę zobaczyć ubranie pani męża? Może znajdziemy coś w kieszeniach?

— Policja już dobrze przeszukała kieszenie. Wszystko leży na stoliku: portfel, papierosy, zapalniczka, drobne pieniądze, nawet bilet.

— Jaki bilet?

— Ten. — Pokazała mi zniszczony bilet, który znajdował się wśród drobiazgów. — Naturalnie od jakiejś kobiety. Niech pan przeczyta.

Czytałem: „Drogi Mike, żałuję tego, co zrobiłam wczoraj, ale już cię więcej nie rozgniewam. Pójdziemy dziś wieczorem do kina? Kocham cię. Edith".

— Edith, jedna z wielu — rzekła Sally.

— Może nawet mężatka — dodałem.

— To dla niego nie było ważne, jeżeli kobieta mu się podobała.

— Jak się nazywała żona Petera Sheldona?

Spojrzała na mnie pytająco.

— Kto? Nie znam żadnego Sheldona.

Wyjaśniłem jej. — I pan przypuszcza, że Edith mogła być żoną Sheldona?

— Tak. I Sheldon, aby się zemścić, ukarać Mike'a, zabił go.

— To niemożliwe!

— Czy nie słyszała pani o zazdrosnych mężach i o zbrodniach na tym tle? Peter Sheldon zniknął, kiedy zdarzył się ten wypadek. Myślę, że zaciągnął Mike'a do garażu, ogłuszył go w jakiś sposób, następnie przejechał po nim wozem ciężarowym. Od tej chwili nikt nie widział Sheldona.

Sally słuchała z przerażeniem. A może to Sheldon chce teraz zabrać mi pieniądze?

— To jest możliwe. Pozbył się Mike'a i pragnie zdobyć jego sumę asekuracyjną.

Zadzwonił telefon, Sally drgnęła nerwowo.

— Spokojnie! — rozkazałem. — Proszę słuchać uważnie tego, co będzie mówił.

Przyłożyłem ucho do drugiej słuchawki.

— Hallo! — krzyknęła Sally. — Tak, to ja.

— Czy masz pieniądze? — zatał jakiś głos.

— Jeszcze nie. Będę je miała jutro o jedenastej.

— Ale nie później, inaczej źle skończysz. Jutro, jak tylko będziesz miała pieniądze, wróć do hotelu i czekaj na mój telefon. Pieniądze włóż do woreczka. Potem ci powiem, co masz dalej robić.

W tym miejscu przerwano połączenie. Spojrzeliśmy na siebie. — Ależ to była kobieta!

— zdziwiła się Selly.

— Kto wie, może słuchaliśmy Edith... Mąż jej przebaczył i teraz pomaga mu w szantażu.

— Ale dlaczego telefonowała ona, nie on?

— Właśnie, dlaczego? Musiała być jakaś przyczyna. Dowiemy się o tym jutro, gdy państwo Sheldon wydadzą polecenie w sprawie dostarczenia pieniędzy. Lecz przedtem muszę jeszcze załatwić wiele spraw.

Dawny adres Sheldonów zaprowadził mnie do starego domu na przedmieściu. — Sheldonowie? — mówili ci, których pytałem — wyjechali. Nie ma ich już od miesięcy.

Chodziłem od drzwi do drzwi, od sklepu do sklepu. Trafiłem także na kwiaciarnię. Właścicielka stwierdziła, iż nie dawno spotkała żonę Sheldona, Edith, w wielkim magazynie na 69 ulicy.

Pojechałem tam. To niedługa ulica. Rozmawiałem ze sklepikarzem, szoferem, właścicielem baru. — Sheldon? — pytali i potrząsali przecząco głową. Wreszcie pewna stara kobieta oznajmiła: — Sheldon? Czy to nie jest ten taksówkarz, który ma postój na tamtym rogu?

Taksówkarz! Oto, czym zajmował się teraz Sheldon.

— Czy pani nie mogłaby mi go pokazać? — zapytałem staruszkę.

— Stoi tam przy pierwszej taksówce. To właśnie Sheldon pali papierosa.

— Dziękuję pani. — Podszedłem do taksówki i wsiadłem do środka. Szofer zajął miejsce przy kierownicy i zapytał:

— Dokąd jedziemy?

— Muszę zameldować o kradzieży — powiedziałem. — Gdzie tu jest najbliższa komenda policji?

— Zawiozę pana — rzekł mężczyzna.

Podczas jazdy przyglądałem mu się. Młody, przystojny. Czy to Sheldon? Może staruszka źle zrozumiała? Może to inny Sheldon?

Gdy przybyliśmy na miejsce, wysiadłem i powiedziałem:

— Proszę chwilę zaczekać, załatwię szybko.

— Panie! — krzyknął za mną szofer. — Potrzymają tam pana z godzinę!

— Zaraz wrócę! — zawołałem, — nie płacąc za kurs.

W komendzie dzielnicowej poprosiłem o rozmowę z porucznikiem policji. Oświadczyłem mu, że na ulicy w taksówce znajduje się kierowca, który prawdopodobnie zamordował człowieka. — Nazywa się Sheldon — tłumaczyłem dalej — nie wiem jednak, czy to ten sam Sheldon, którego poszukują. Czy można sprowadzić kogoś z Bentley Company?

Kierownik personalny firmy Bentley przyjechał już po kilkunastu minutach. Jego auto zatrzymało się za taksówką Sheldona.

Kierownik wysiadł. Nagle zobaczył taksówkarza, stojącego obok wozu i wyciągnął do niego rękę. Sheldon wytrzeszczył oczy. Potem rzucił się do swego samochodu i zapuścił motor. Lecz nie zdążył uciec. Kilku policjantów, czuwających z rozkazu porucznika, chwyciło go za ramiona.

Sprowadzono także Sally Harst. Gdy weszła do biura komendy, przeraziła się.

— Mister Kings! — krzyknęła. — Jednak zwrócił się pan do policji! Tak panu wierzyłam, a teraz co będzie? Przecież oni mi tego nie darują!

W tym momencie odwróciła się i wzrok jej padł na mężczyznę w kajdankach, który stał w kącie pokoju.

Taksówkarz! Sally zbladła i zachwiała się. Podałem jej krzesło. Nie przestawała przyglądać się taksówkarzowi. Potem wyszeptała — Mike...

To był jej mąż Mike Harst!

Dyrektor firmy Bentley dodał: — To nie jest Sheldon. To jest Mike Harst, ten o którym myśleliśmy, że nie żyje.

— To nie Sheldon zabił Mike'a — wyjaśniłem pani Harst — ale Mike Sheldona. I zabrał mu żonę. Owej nocy po popełnieniu zbrodni wymienił dokumenty swoje i Sheldona, a następnie zmasakrował go. Zajął miejsce Sheldona, wziął jego nazwisko i żonę. Nie przenosił się gdzie indziej, gdyż czekał w Bostonie, aż pani, Sally, zainkasuje ubezpieczenie. Chciał mieć te pieniądze. Gdy pani je otrzymała, postanowił je odebrać. Najpierw on zatelefonował, potem bał się, że pani pozna jego głos i kazał Edith, aby z panią rozmawiała. Teraz Edith zostanie aresztowana jako wspólniczka pani męża.

Gdy Sally otrząsnęła się z szoku, zapytała mnie: — Czy muszę zwrócić wszystkie pieniądze towarzystwu ubezpieczeniowemu?

— Naturalnie — odparłem. — Przecież pani mąż nie umarł.

Sally rozpłakała się.

Oprac. A. S.

Lewym okiem

NARESZCIE URLOP!

Do niedawna przepisy o urlopach przewidywały, że w miesiącu marcu i listopadzie wolno udzielić urlopu wypoczynkowego tylko temu pracownikowi, który wyrazi na to zgodę. W ten sposób pracodawca uznawał, że owe dwa miesiące nie należą w naszym klimacie do najpiękniejszych i że krzywdą byłoby nakłaniać kogoś do brodzenia po nieuniknionym błocie i deszczu, przy znając komuś innemu prawo do pławienia się w słońcu i do wodno-leśnych rozkoszy.

Klimat się wprawdzie nie zmienił, zmieniły się jednak przepisy. Jest w tej zmianie sporo ekonomicznych racji, trudno, nie można ich nie widzieć. A to, że domy wczasowe ziały przez dwa miesiące pustką, podczas gdy każda „osobodoba" w takim domu przybiera na cenie wobec rosnącej rzeszy ludzi, łaknących wypoczynku. A to, że kumulowanie urlopów w niektórych porach roku powoduje w tychże okresach ogromne luki, w obsadzie zakładów pracy i niewątpliwie osłabia, psuje, wykrzywia rytm produkcji i całego życia społecznego. To prawda. Do tego doszło jeszcze zarządzenie, nakazujące kategorycznie wykorzystać do końca marca bieżącego roku wszystkie urlopy zaległe — zarządzenie, które żelazną miotłą wygarnęło z gabinetów, oderwało od biurek i akt zarówno urzędników upartych, jak i tych, których przed tem uznawano za nazbyt potrzebnych, zaklinano na obywatelską postawę wobec naglących zadań itp.

Trudno, jedziemy na urlop. Międzyzdroje przynajmniej ogłosiły w prasie, że zapewnią swym marcowym gościom zwiększoną porcję atrakcji dla wyrównania paskudnej pogody i raczej problematycznych kąpieli morskich. Nie wiem, czy były te atrakcje i jakie, zamysł był jednak prawidłowy i godny oklasków. Pewnie, że należało by coś dać zziębniętym i skurczonym „wczasowiczom" za tę ich, pożal się Boże, wilegiaturę. Być może, że Międzyzdroje stanowiły chlubny wyjątek. Ale poza tym — to znowu tak jak w pewnym felietonie Wiecha, kiedy pani Piecykowa rozbiła słoik z malinami: „Nie ma malin — to i agrestu niech nie będzie!" — i trzask o ziemię agrestem. Nie ma pogody, to niech w ogóle nic nie będzie!

Wszystkie kawiarnie zamknięte na cztery spusty. Niektóre w remoncie, inne w ogóle nieczynne, bo nie warto. Nieszczęście z tymi kawiarniami: kiedy się chce remontować latem — to krzyk, że pełnia sezonu, a tu remont! Kiedy się chce w marcu — to znów się nie podoba, bo martwy sezon. No to kiedy remontować? Nie wiem. Może najprościej byłoby remontować po kolei, nie tak akcyjnie. Może martwy sezon był czasem odpowiednim, kiedy był martwy, kiedy nie błąkały się tu bezradnie tysiące mieszczuchów, zażywających na wietrze i ślizgawicy swych raczej dobrze zasłużonych wczasów. Zadne zespoły — nawet te ośmieszane z Estrady i nie z Estrady — nie zaglądają o tej porze do Karpaczy, Międzyborzów i Głucholazów. Kina grają raz na dzień, późno, kiedy nie sposób do nich dobrnąć z dalekich domów wczasowych po ciemku, po wodzie i deszczu. W samych domach wczasowych zupełnie tak jak latem: nie dzieje się NIC! Nic, oprócz telewizji. Pisałem już o tym, jak telewizja wyręcza administrację wczasową. W marcu to jest szczególnie dojmujący objaw absolutnego naplewatielstwa.

Słońce i woda są najpiękniejszymi atrakcjami każdego „Zdroju" i można przy nich machnąć ręką na żenujące zabiegi administracji o wykonanie planu rozrywek kulturalnych. Kiedy dni są krótkie i szare od deszczu, zimne, mokre — konieczne jest zwiększenie troski o klienta, jeśli to ma być dla niego pełnoznaczny urlop, a nie kara z wpisaniem do akt personalnych. Ponieważ troska ta kończy się na dzwonie wzywającym trzy razy dziennie na posiłki — siedzimy w dusznych pokojach źli i rozgoryczeni, śpimy przed i po obiedzie aż do zawrotu głowy, pierzemy pod kranem skarpetki, opowiadamy o wojnie, zażywamy aspirynę i czytamy o sobie w uczonych artykułach, jak to nie potrafimy wypoczywać.

Potrafimy! Przecież zaraz po kolacji włączą telewizor!

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy). Konrad Frejdlich (dział publicystyki). Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu). Celina Paluch (redaktor techniczny). Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego). Jerzy Wilmański (dział kulturalny). Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwartalnie 19,50 zł. półrocznie — 39 zł, rocznie — 78 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 736. H-4.